Cena 40 gr.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ODNOWA

TYGODNIK

30 maja 1937 r. Niedziela Rok II. Nr. 32.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Traugutta Nr. 3, m. 6. Telefon: 6.97-99.

NASZA ANKIETA

Dzisiaj zabiera głos p. L. jeden z radykalnych działaczy społecznych, który odznaczył się wybitnie i ofiarnie, jako adwokat, obroną proworządności w Polsce. **REDAKCJA.**

L

Si flectere nequeor superos...

Niema dziś w Polsce warunków zupełnej swobody myśli i uczciwej krytyki. Trudno mi więc odpowiedzieć na ankietę rozpisaną przez Redakcję „Odnowy", tak jakbym tego pragnął.

Znakomite osobistości, które wzięły w niej udział, wypowiedziały w swych wywodach wiele trafnych i mądrych uwag. Gdyby Polska żyła w normalnych warunkach, nic łatwiejszego, jak zastosować się do wyrażonych opinji i realizować je w życiu państwowem i społecznem za pośrednictwem uprawnionych czynników, określonych w prawie publicznem. Ale prawo publiczne jest u nas jeszcze pojęciem płynnem i nieuchwytnem. Niech mi kto powie, jaka dziś obowiązuje w naszym kraju konstytucja? Na papierze kwietniowa, zarówno jak na papierze obowiązywała przed nią konstytucja marcowa z roku 1921. W rzeczywistości, jednak każda z nich, zamiast być dla rządów i narodu świętością nienaruszalną, tak jak nią jest np. dla Anglików słynna *Magna Charta*, nie była niczem innem, jeno *carte blanche* dla wszelkiego rodzaju „luzów", pomysłów i wyczynów władzy wykonawczej, które duże spustoszenie sprawiły w etyce politycznej i w poczuciu prawnem społeczeństwa, nie mówiąc już o tem, jak głęboko wstrząsnęły sumieniem publicznem z powodu konfliktów i tragicznych zdarzeń, stąd wynikłych.

Wszyscy w Polsce — zwłaszcza przywódcy różnorodnych kierunków politycznych — przy każdej sposobności powtarzają za Marszałkiem Rydzem-Śmigłym znany ogólnik: *„Polskę trzeba podciągnąć wzwyż.* Ponieważ w tych słowach tkwi ogólnik o niezmiernie szerokiej rozciągłości, przeto niema nikogo, ktoby mu nie przyklasnął. Ale jaka w tych słowach treść konkretna i realna? Wszyscy chcemy „podciągnąć" Polskę „wyżej" — rozumiem pod względem kulturalnym, moralnym, gospodarczym i obronności narodowej. Lecz czy nie sądzą ci, co to hasło podnieśli, że warunkiem jego urzeczywistnienia kardynalnym jest, by przedewszystkiem pewną grupę ludzi uprzywilejowanych *ś c i ą g n i ę t o n i ż e j z p i e d e s t a ł u*, który sobie *iure caduco* sami zbudowali. Tylko gdy oni *z n i ż ą* swoje wzruszenia i ambicje, w prawie boskiem ani ludzkiem nie uzasadnione, tylko wtedy tworzone będą atmosfera i warunki, w których „podciągnąć będzie można Polskę *w z w y ż*". Nie inaczej. Mówiąc o tych ludziach, mam na myśli grupę wyższych oficerów armji, których pospolicie nazywają „pułkownikami", a którzy się uważają za powołanych do rządzenia państwem z wyłączeniem woli ludności. Ś. p. Marszałek Piłsudski często wypowiadał swój żal do posłów, zarzucając im, że się uważają za nadinżynierów, nadkonduktorów i t. p. za nadznawców wszystkich dziedzin i działalności ludzkich. Jeśli tacy posłowie kiedy istnieli, to dawno już znikli z politycznego horyzontu, a zastąpiła ich owa grupa wyższych oficerów — znikoma mniejszość korpusu oficerskiego —, która wkroczyła zdobywczo do polityki i przywłaszczyła sobie prawo kierowania życiem politycznem kraju i poddania pod swoją komendę całego społeczeństwa.

Aleksander Świętochowski niedawno temu ubolewał, że naród polski zajmuje dziś wśród narodów „jedno z miejsc ostatnich", dlatego, że wszystkie się zdemokratyzowały, a nasz pozostał szlacheckim. O szlachcie, warstwie „górnej", twierdzi ten przez cały naród czczony wielki publicysta, że przechował się w jej umysłach „śmieszny i przeżytkowy nałóg, który ją utrzymuje w przekonaniu, że ona jest stworzona do rządzenia i kierowania *niższymi*, że ci ostatni nie zasługują na równouprawnienie, że bez niej *weszłiby na manowce ze szkodą dla siebie i dla całego narodu*".

Wedle mojego skromnego zdania Aleksander Świętochowski się myli. Tak było, ale ja, który należę do lewicy i w mojem życiu publicznem zawsze zakusy szlacheckie zwalczałem, stwierdzić mogę, że szlachta w dużej mierze nauczyła się trzeźwo patrzeć na ewolucję sto-

sunków społecznych i jakkolwiek swojego instynktu klasowego wcale się nie wyzbyła, nie ma już dziś pretensji do dyktowania swojej woli społeczeństwu. Jej miejsce zastąpiła owa grupa oligarchów wojskowych, o których wspomniałem, a która wobec nas *„niższych”* występuje wciąż omal że nie w roli pomazańców bożych. Przed paru dniami jeden z wyższych oficerów w organie wojskowym napisał: „Nie zgadzam się z tymi, którzy twierdzą, że ustrój totalny nie jest w tej chwili w Polsce wskazany“. *Przeciwnie — dodaje — „ż y c i e p o l s k i e t r z e b a w z i ą ć w o b c ę g i...“* Otóż to! Ci panowie oficerowie - politycy najwidoczniej nie rozumieją psychiki nowoczesnych społeczeństw i polskiego ludu; *obcęgami* Polski podnieść wzwyż nikomu się nie uda. Wszak 11 już lat żyjemy „w obcęgach” i pod ścisłą kuratelą oficerów-polityków, a jaki tego okresu plon? Rozgoryczenie i rozprzężenie w społeczeństwie, kompletna „dekompozycja” i jak gdyby paniczne rozpaczliwie nawoływanie do „konsolidacji” dla obrony niepodległości i bytu państwowego.

Prawda, pozostawiono pewną odrobinę swobód obywatelskich niejako dla wykazania przed światem demokratycznego alibi Polski. Ale nikogo to ani w kraju, ani zagranicą nie zdołało w błąd wprowadzić. Każdy o tem wie, że od lat rządzi się u nas „obcęgami” i „totalnie”, to jest fatalnie. Kto bez uprzedzeń wsłuchuje się w głos chłopskich mas, kto zna nastroje miast i robotniczej ludności, ten przyzna, że niezadowolenie z obecnego reżymu graniczy już z ledwo pohamowanym gniewem. Bo w cywilizowanem, zdolnem do rozwoju i wszystkie obowiązki wobec społeczeństwa spełnić pragnącem państwie oficerowie należą do armji, a rządy państwowe dzierżą w swych rękach ludzie, wyłonieni przez całe społeczeństwo, nie zaś przez jedną drobną, uprzywilejowaną kastę. Zarówno w dawnych stuleciach, jak w czasach nowszych, rządy wykonywane przez uprzywilejowane grupy oficerskie kończyły się dla narodów straszliwemi katastrofami i przynosiły tysiąckroć więcej zła, aniżeli błędy czy przewinienia demokracji.

Ba, nawet w dzisiejszych faszystowskich państwach totalnych, jak Niemcy i Włochy, nie widać wcale, by niemi kierowali pułkownicy i generałowie. Oficerowie wszelkich stopni ograniczeni zostali do swojej właściwej roli, która polega na przygotowaniu obrony państwa. Marszałkowie Foch i Petain należą do największych zwycięsców świata: czy komukolwiek z nich przyszło kiedykolwiek na myśl, sięganie po władzę naczelną w państwie w czasie pokoju, lub nawet w czasie wojny? I czy na tej ich skromności, na tem ich ograniczeniu się do właściwej kompetencji źle wyszła lub w czemkolwiek ucierpiała obronność wojskowa państwa? Jeśli więc prawdą jest to, co głoszą pp. politycy wojskowi w swoim organie, że „cała Europa jest dziś na groźnym zakręcie dziejowym” i że sytuacja państwa polskiego „znajdującego się pomiędzy dwiema zbrojącymi się potęgami wymaga *szczególnego naprężenia sił i energji”*, to oddajmy armji, co jej jest, i oddajmy społeczeństwu, co do społeczeństwa należy. Chcecie Polskę podnieść *wzwyż*, skłońcie przedewszystkiem owych uprzywilejowanych pułkowników i jeszcze wyższych rangą, by zeszli z wyżyny swoich wysokich urzędów cywilnych w państwie i gminach, w bankach i różnych przedsiębiorstwach gospodarczych, bo obowiązki z temi urzędami złączone wypełnić są w stanie ludzie fachowi i prawdziwie powołani, ze znacznie wyższymi kwalifikacjami.

Zniknąć musi zupełnie przywilej rządzenia państwem i rozkazywania „duszy narodu”, proklamowany w Sejmie przez generała - premjera na rzecz osoby, której wojskowo jest podporządkowany, a który w ciągu jedenastu lat minionych dzierżyła w swem ręku, tak zwana grupa pułkowników. To są zwyczaje i urządzenia monarchji absolutnej. *Le colonel est mort, vive le colonel!* Zgrała się stara ekipa, dajmy Polsce nową! Tamta stworzyła blok, który się rozsypał od jednego tylko kopnięcia; precz więc z blokiem, stwórzmy teraz *obóz!* Tak to nie pójdzie. Z tą nową próbą powtórzą się dawne lata majaczeń, okrucieństw i męki. P. Niedziałkowski, jako nieodzowny i naglący postulat postawił: rozwiązanie Sejmu i rozpisanie, demokratycznych i swobodnych wyborów. Najzupełniej się z nim zgadzam i żądanie jego podpisuję. Ale to nas bynajmniej jeszcze nie wyprowadzi z zamętu dzisiejszego i nie uleczy owego przez rządzący obóz przyznanego stanu „dekompozycji“.

W r. 1928 mieliśmy demokratyczne i jako tako swobodne wybory. Został wybrany Sejm o zdecydowanie demokratycznej większości, który bronił swoich praw i swej godności, a zarazem praw i godności wszystkich obywateli odważnie i z dużem poświęceniem. Najlepsze miał chęci i konsekwentnie szedł po drodze interesów Państwa ku realizacji swoich konstytucyjnych zadań. Ale wciąż mu to uniemożliwiał *Deus ex machina*, dodajmy: *militari*. Brzmią nam jeszcze w uszach słynne ponure słowa: *„n i e d a w a ł e m p r a c o w a ć t r z e m S e j m o m”*, albo: *„p o s t a n o w i ł e m z a n i e c h a ć s e j m u”*. Te słowa, jak zabójcze pociski miotane wśród rozgwaru walki politycznej, przeszły do historji!

Któż tedy daje rękojmię, że po przeprowadzeniu demokratycznych i uczciwych wyborów nie powrócą lata 1928 — 1930? Owe zatrute konflikty i tragedje, których grozę i następstwa jeszcze dziś w kościach odczuwamy? Nie ma tej rękojmi i nie będzie warunków uczciwej, twórczej pracy, dla żadnego, chociażby najbardziej idealnego przedstawicielstwa narodowego, dopóki istnieć będzie zwarta i rozgraniczona grupa wyższych oficerów wojskowych, „totalistycznie” i „nadrzędnie” myślących i uważających siebie za powołanych z łaski Bożej do komenderowania społeczeństwem. Dopiero gdy kompetentne czynniki wojskowe to zrozumieją i nadrzędność tej grupy uchylą, wytworzy się właściwy klimat, w którym przedstawiciele wszystkich kierunków politycznych będą mogli zasiąść do wspólnego stołu, aby z całem oddaniem się Ojczyźnie, ze sumienną i rzeczową rozwagą przystąpić do prawdziwej Konstytucji, tak bardzo upragnionej dla umocnienia fundamentów Państwa i zapewnienia mu trwałych warunków cywilizacyjnego rozwoju.

Od szeregu lat rządzi Belgją, i to dobrze rządzi, konsolidacja narodowa, czy jak kto chce, koalicja stronnictw, które się przez dziesiątki lat namiętnie i nieraz z największą zaciekłością zwalczały: katolicy, liberali i socjaliści. Ideologicznie dzieliła te partje głęboka przepaść. Odpowiedzą mi: ależ to Belgowie! To Anglicy, to zupełnie co innego, aniżeli my Polacy!

I przypomina mi się, pytanie, które mi przed niedawnym czasem zadał jeden z byłych ministrów obcego państwa: Panie, czy to prawda, że naród polski jest tak niesforny i na tak niskim poziomie moralnym, jeszcze pozostaje, że tylko poświstującym nad nim batem w karbach utrzymać go można? — Pytam dlatego — dodał ów były minister, bardzo ceniony na gruncie genewskim — że tak mnie pouczał jeden z waszych ekspertów, z którym się zetknąłem”.

Tym co tak myślą, odpowiem, że Belgów czy Anglików nikt batem, ani obozami koncentracyjnemi nie wychowywał i politycznie nie uświadamiał. Obowiązek poświęcenia wszystkiego dla obrony państwa Anglicy i Belgowie doskonale rozumieli, rozumieją i wypełniają, jak go rozumieją i wypełniają Polacy. Anglicy w swojej umowie z Francją, przed wojną światową zawartej, zobowiązali się przyjść Francuzom z pomocą korpusem 150 — 200.00 ludzi, a poległo *przeszło miljon* angielskich żołnierzy w obronie sprzymierzonego narodu. Te miljony żołnierzy na pole walki wysyłał rząd *parlamentarny*, wyłoniony przez stronnictwa polityczne, które zachowały także w czasie wojny swoją samodzielność i bynajmniej nie zostały przez żaden *Ozon* „zabsorbowane”, jak to w Polsce planuje nowa gwiazda polityczna p. pułkownik Kowalewski. Był to rząd cywilów, bynajmniej nie pułkowników i generałów, doskonale się wywiązał ze swojego wielkiego zadania obrony Francji a wraz z nią Europy całej przed dziką hegemonią buta pruskiego.

Musi tedy uniknąć totalistyczne krakanie nad Polską i zniknąć z życia politycznego klika oligarchów, która powołując się na fikcyjne testamenty chce uwiecznić swój przywilej panowania i dyktowania „twardych rozkazów” narodowi. Nie ku barbarzyńskim totaiizmom, lecz ku światłym narodom Za-

chodów droga polskiej cywilizacji prowadzi. Zbyt krótko byliśmy demokracją, zbyt szybko i zbyt gwałtownie rozwój Polski ku mądrej i zdyscyplinowanej demokracji został przerwany, by należało ją wymazać z pamięci, myśli i sumienia Polski. Chodzi mi o Polskę zarówno przedrozbiorową jak i wskrzeszoną po wojnie światowej. Tej ostatniej prawdziwa historja będzie przez odważnych ludzi napisaną, kiedy odpadną haniebne hamulce moralne dnia dzisiejszego. Wtedy się okaże, ile blagi i kłamstwa służalcy i panegiryści w polskie życie współczesne wnieśli. Oceniając dzieło Bismarka, jeden z Niemców po jego śmierci napisał: *„Er machte Deutsland gross, aber die Deutschen klein* (Niemcy zrobił wielkiem państwem, lecz Niemców małymi ludźmi). A to przez sparaliżowanie woli narodu, przez przerost narzuconego niewolniczego posłuszeństwa, przez ubijanie w duszach obywateli samodzielności i odwagi cywilnej. Myśliciel i poeta francuski *Valéry* w jednej z licznych przedmów do obcych dzieł wypowiedział zastanawiające zdanie: „W społeczeństwie tak, jak ono się dziś wytwarza, jedyny człowiek który może ogarnąć swym wzrokiem i przemyślić całe swoje dzieło *(„contempler son ocuvre)* — to *d y k t a t o r.* On bowiem posiada wyższą psychikę i on jedyny rozporządza pełną potęgą czynu. On jest jedynym *kompletnym* mężem swojego narodu". Niektórzy jako męża tej miary uważają zmarłego Marszałka Piłsudskiego. Niestety nie zostawił nam tak, jak Napoleon, pamiętników, któreby zawierały ową Valeryoswką „kontemplację dzieła. Za próbę „kontemplacji i rozpamiętywania" uważać można słowa, które p. pułkownik Matuszewski, jeden z tych, co rządzili pomajową Polską, wypowiedział w swoim odczycie poznańskim. Przedewszystkiem skarżył się zupełnie zbolały na obecną wszechwładną i rozrastającą się biurokrację, która jego zdaniem jest „niebezpieczeństwem dla Polski". Potem wydarło mu się z piersi następujące westchnienie: „sposoby gospodarki, jej organizacja, poprzez człowieka — wiążą się z moralnością społeczeństwa, wpływają na jego zwartość lub rozkład. I dlatego *przyjęcie metod*, któreby nawet gwarantowały większą sprawność techniczną, lecz *osłabiły moralność*, rozbijały zawartość, paraliżowały wolę narodu — przyjęcie takich metod byłoby nie postępem, lecz *r o z k ł a d e m, nie wygraną*, lecz *k l ę s k ą*". Kto stworzył ową nieszczęsną biurokrację? kto wprowadził owe fatalne metody, grożące rozkładem i klęską Państwa polskiego? kto osłabił moralność? kto paraliżuje wolę narodu? Te pytania powinien głęboko rozważyć w swojem sumieniu ten, który dając rozkaz generałowi Składkowskiemu, objęcia urzędu premjera wysłał go na patrol (jak to premjer sam w Sejmie się wyraził) a potem nakazał zorganizowanie nowego obozu politycznego, do czego znów odkomenderowano całą ekipę pułkowników. Do jakiej konkluzji doszedłby p. Rozkazodawca premjera po rozważeniu powyższych pytań, tego przesądzać nie jestem w stanie. Społeczeństwo całe z wyjątkiem służalców lub zaślepionych fanatyków legendy jest pod tym względem jednomyślne, albowiem z niecierpliwością oczekuje wycofania patroli i pułkowników z ich prymitywnemi, z poza kordonu zachodniego przeszczepionemi koncepcjami życia politycznego.

Nie umiałbym podać konkretnego sposobu zrealizowania gorącego pragnienia całej ludności Polski — na wypadek gdyby stan dzisiejszy opanowania Ojczyzny przez „wszechwładną i rozrastającą się" biurokrację, z powodu „paraliżowania woli narodu" i zwiększonego skutkiem tego niebezpieczeństwa „klęski", pozostał bez zmiany. *„Si flectere nequeor superos..."* — jeśli ci u góry będą głusi na głos doświadczenia i smutnej teraźniejszości, natenczas oczywiście zaciężą na naszych losach *imponderabilja*, które w rachubach politycznych ś. p. Marszałka Piłsudskiego tak dużą odgrywały rolę. Imponderabilja atoli nie zawsze grają tylko po stronie tych, co są u góry; czasem przechylają szalę na korzyść miljonów ludzi u dołu... Bo w każdym człowieku jest naturalna dążność do wyzwolenia się z jarzma i podźwignięcia się ze stanu poniżenia. Tylko tak dalej przedłużajmy automatyczne funkcjonowanie biurokratycznego aparatu na schyłku jedynowładczej dyktatury, a wtedy wybuchnie bezprzykładowy wielki *g ł ó d*, który będzie *„n i e t y l k o g ł o d e m c h l e b a"*.

Ku czci Wielkiego Żołnierza

Podajemy wizerunek tablicy ku czci ś. p. Jenerała Rozwadowskiego, zrobionej przez prof. K. Laszczkę. Przedziwne są dzieje tej tablicy tułaczej. Można ją umieścić wewnątrz nawy kościelnej, bo w tej sprawie decyduje Kościół. Ale nie znaleziono dotąd miejsca zewnętrznego, bo wtedy udziela zezwolenia administracja. Dzieje tej tułaczki i wielu uchwał Komitetu opowiemy wkrótce.

Tymczasem przypominamy.



Jen. Tadeusz Jordan - Rozwadowski był osobistością wybitną i dla Polski zasłużoną. W czasie wojny oddał działaczom polskim wielkie zasługi. Zawsze gorący i bezkompromisowy Polak nie wahał się nigdy, gdy szło o interes Polski. W pierwszych miesiącach i latach organizowania państwa polskiego odegrał rolę bardzo poważną. On jest, wedle zeznań wielu, autorem planu bitwy pod Warszawą w sierpniu 1920 r. On w maju 1926 r. stanął na czele armji, wiernej Prezydentowi, rządowi i konstytucji, przysiędze. On, po przegranej, spędził miesiące w więzieniu na Antokolu, skąd wyszedł śmiertelnie chory.

R. Świętochowski.

Raptularz tygodniowy

(SKWAPLIWE OBLICZENIA — STARA ŚPIEWKA).

Gdy przed niecałym rokiem dwustutysięczna masa chłopów stanęła w Nowosielicach a potem zaraz powtórzyła swą demonstrację podczas dni sierpniowych — poczęto liczyć się z aktywnością polityczną mas chłopskich, jako czynnikiem nowym. Od zeszłego roku przy każdej sposobności oblicza się, czy aby ilość demonstrantów chłopskich nie zmniejsza się. Po półrocznym namyśle nie przeczy się już, że wielkie ilości chłopów zjawiały się na miejscach zebrań. Olbrzymie, dynamiczne naprężenie w masach chłopskich, zjawisko nieznane dotąd w tych rozmiarach, obaliło, dogmat o bierności mas chłopskich, dogmat, wcielany dotąd w każdy nie - chłopski program polityczny. Zdawałoby się, że każdy dobra Rzplitej życzący odbywatel powinien cieszyć się z tego zjawiska, jako nowego przejawu sił narodowych. Oczywiście nie wszędzie radość jest odzewem na chłopskie zawołanie.

Zjawisko nowe poddaje się surowej próbie. Czy aby chłopi przetrzymają, czy pokonają trudności, czy powrócą w tej samej sile tam, skąd ich nieraz skróconym trybem usuwano? Czy aktywność chłopów jest trwałą? Czy nie dadzą się namówić do powrotu na dawną pozycję? Pytań tych nie formułuje się jasno, skądże znowu, ale wiszą one w powietrzu, jako główny temat dla wewnętrznych raportów sytuacyjnych.

Ta zastanawiająca naiwność rozbrajałaby, gdyby nie była udaną. Przecież już w r. 28 a tem bardziej w r. 30 trjumfowano, że społeczeństwo, znużone walkami partyjnemi, odwraca się (sic!) od polityki ku sprawom społecznym i gospodarczym. Gdyby zliczyć te ilości zapewnień, potwierdzeń, argumentów, zebrałby się ocean wody, nie zawsze przejrzystej ale głębokiej na całą niesumienność zuchwałej demagogji. Dzsiaj wszyscy już widzą, jak słuszne i uzasadnione były te trjumfy, odnoszone pod opieką wszechwładnej administracji. I młodzież i starsi tak bardzo zapomnieli o polityce, że nagle ogólne, w powietrzu niejako krystalizujące się hasła, przejęto na własność i dalej że niemi obracać jako swoistym wynalazkiem tych, którzy do wczoraj odżegnywali siebie i społeczeństwo od polityki. Podobnie z chłopami. Chłop tak długo był uważany za symbol bierności, aż, ilość starć na wsi przy wielu okazjach, pozornie całkiem odmiennych, zdumiała nawet tych, którzy nigdy co prawda na wsi nie bywają, ale codziennie dyktowali skróty sytuacyjne, z których jasno wynikało, że na wsi nic niepożądanego się nie dzieje, że świeżo mianowani sołtysi i wójtowie i dalej w górę — „zżywają się z terenem" i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie kilku „partyjników", którzy... itd. I dzisiaj zaczyna się grać melodyjkę da capo. Może obudzenie się nie potrwa zbyt długo, może powróci letarg, stan upragniony. Może przeczekawszy wiosnę (z zastosowaniem wskazanych ostrożności) przyjdzie lato ze żniwkiem, konjunkturą itd. Komu zależy na prawdzie o ruchu ludowym? „Sektor miejski", „sektor wiejski" nie zahaczają o siebie. Prawdę znają przyjaciele. Znają ją także nieprzyjaciele. Ale szary obywatel ma znów tylko „gryplanik" lub malutką jego część i to tak długo, jak długo my mamy coś do powiedzenia. I teraz uwierzcie, że chłopi są jacyś inni, niż w ostatnim roku. Bo właściwie reputacja polityczna pewnego środowiska zależy od waszej łatwowierności. Więc kto uwierzy?

*

Ponieważ zabrakło czasu dla niektórych spraw na sesji budżetowej, przeto zwołano t. zw. sesję nadzwyczajną. Takby powiedziano w każdem normalnie urządzonem Państwie, przytem rząd lepiej już do zadań swych przygotowany dodałby, że nie są to sprawy nadzwyczajnej wagi, dla których sejm się zwołuje, ale sprawy pilne, których załatwienie leży w interesie ogólnym. Nic zaś lepiej nie charakteryzuje sytuacji, jak to, że w splocie motywów, które coś znaczą w jawnej i tajnej rozgrywce obecnej, nigdy nie mówi się o społeczeństwie samem, nie wysuwa się, nawet dla pozoru, argumentów, które w dyskusji takiej powinnyby dominować. Ale właściwa trudność leży gdzieindziej. Dlaczego niema niezbędnej dzisiaj odrobiny szczerości w dyskusji? Dlaczego eliminuje się najmniejszy nawet ślad rzeczywistości z rozmów politycznych, których wyklarowanie jest przecież niezbędne? Sprawa przecież stoi tak: albo czteromiesięczna sesja sejmowa z obecnym regulaminem, brakiem klubów i wszystkiemi innemi brakami i — pełnomocnictwa albo conajmniej półroczna sesja sejmowa z większym wewnętrznym remontem bez pełnomocnictw. Niema trzeciej możliwości rządzenia, jeśli stoimy na gruncie stanu faktycznego (w momencie dyskusji naturalnie) i uważamy, że można gdzieś ujechać przy pomocy obecnego aparatu ustawodawczego.

Nikomu zaś mniej od rządu, nie wypada mylić się w w wykładni porządku rzeczy, do którego obrony czuje się powołanym i uzdolnionym zapewne. Cóż to może zaś znaczyć, że nie może znaleźć referentów ustaw, wniesionych przez siebie? Cóż może znaczyć milczenie, które otacza jego poczynania, milczenie, które premjer chce przerwać, wyszukując sobie słuchaczy na dziedzińcu M. S. W.? Znaczyć może wiele, ale w każdym razie to, że szwankuje współdziałanie władzy wykonawczej z ustawodawczą, czy też odwrotnie. Szwankuje, ale mówi się o czem innem. Rząd, łaskawi czytelnicy dawno już to zauważyli, ma różne braki, ale do najmniejszych należą te właśnie, z powodu których ciała ustawodawcze wymigują się od swych obowiązków, których spełnienie gwarantowały sobie wstępnem ślubowaniem. Odwrotnie pp. ministrowie tyle już powiedzieli o współpracy rządu z sejmem, że wystarczyłoby tego na pełną kadencję, gdyby nie jakaś odtrutka w atmosferze, wymagająca coraz nowych zapewnień, a dotychczasowe czyniąca niebyłemi.

TOT.

Rozmowa w stylu Wyspiańskiego

— Pogadamy o przymierzu...
— Dyć to, panie, nie w Nieświeżu!
Pon się we wsi bojom ruchu,
pon nos obśmiwajom w duchu,
a cóż, panie, wasze miasta —
chłop potęgą jest i basta!
— Kraczesz, kraczesz, mój puszczyku.
— Ze co, panie pułkowniku?
Wasze brudy, podłość, kłam —
znam, zanadto dobrze znam!
— Siadaj acan, pogadamy...
— Skoda gadać, my som chamy.
— Już nam szynkarz wódkę leje...
— Chłop i wódka — stare dzieje —
chłopa wódką dziś nie kupi —
pon wciąż myślą, że my głupi!
może dawniej to tak było
ale to się już skończyło.
— Słowa, słowa, słowa, słowa!
A tu ważna jest rozmowa,
tu o chłopskie chodzi głosy —
wielka sprawa, sprawa główna!
— Chłopskie głosy, chłopskie kosy —
chłop sie z wami nie dorówna!
Dajcie panie spokój temu.
— A to czemu, a to czemu?
— Nie poleci orzeł w g...!

Gryf.



O PRAWDĘ HISTORYCZNĄ.

(S. T.). Przy ceremonji wręczenia doktoratu honorowego marsz. Rydzowi-Śmigłemu wygłoszono mowy, które prasa rozwinęła w obszernych komentarzach. Ponieważ padły słowa o Batorym, jako o wielkim wychowawcy narodu, co zaczerpnięto z publicystyki i ze sceny, przeto nie bez pożytku będzie sprostować równie mylne, jak powszechnie powtarzane poglądy.

Badania ścisłe historyczne wykazały, że Batory, o ile był świetnym wodzem, o tyle zupełnie nie objawiał zainteresowania dla spraw wewnętrznych narodu, jego psychiki i dążności, na tronie polskim pozostał cudzoziemcem i wogóle nie doceniał instytucyj polskich i ich potrzeb. Szlachta, która za Zygmunta Augusta wyrobiła sobie jasną świadomość celów w polityce wewnętrznej, miała dobrą już tradycję i pełnych odpowiedzialności przywódców (np. Orzelski), została zupełnie zawiedziona w swych nadziejach. Zahamowanie reform wewnętrznych przez brak ze strony królewskiej nietylko inicjatywy i programu, ale wogóle zrozumienia ich potrzeby, pociągnęło najgorsze następstwa, poczęło zdrowy ruch szlachecki anarchizować. Batory pozostawił po sobie jako wychowawca narodu nieszczególne z tego powodu wspomnienia.

Również sprostowania wymaga powtarzany uparcie pogląd, jakoby Batory był twórcą czy fundatorem akademji wileńskiej. Dzielny ten król nie miał ani czasu ani głowy dla spraw kulturalnych. Do powstania akademji w niczem się nie przyczynił. Akademję ufundował biskup wileński Walerjan Protasewicz - Szuszkowski a zgodę na jej organizację po długim kołataniu wyjednał u władz zakonnych w Rzymie Stanisław Warszewicki, rektor kolegjum jezuickiego. Batory wystawił przywilej, zatwierdzający fundację akademji, to bowiem należało do zakresu władzy państwowej, ale była to czynność formalna, nie świadcząca o żadnej zasłudze króla wobec akademji.

Nazwanie uniwersytetu wskrzeszonego w Wilnie imieniem Stefana Batorego dowodzi, że ci co ten tytuł obmyślili, nie przyjrzeli się rzeczywistości historycznej. Zresztą, zdaje się, żaden z uniwersytetów polskich nie nosi nazwiska swego założyciela.

Przemówienie wodza

Według Le Temps podajemy mowę Marszałka Pétain, napisaną z okazji odsłonięcia pomnika na cześć jednego z bohaterów wielkiej wojny — Jenerała Barbot'a. Piękna mowa. Godna marszałka Francji, obrońcy Verdun, armji i jej organizatora w chwili przesilenia i zmagań śmiertelnych aż do zwycięstwa. — (Red.).

Pierwszego września 1914 roku gen. Barbot stanął na czele 77-ej dywizji i stał się w ciągu paru tygodni bożyszczem swych oficerów i żołnierzy. Wielki, szczupły, okryty płaszczem prostego żołnierza, znajdował się wszędzie tam, gdzie jego obecność była potrzebna dla spotęgowania woli zwycięstwa. Jego wzrok głęboki i dobry wyrażał wiarę niezłomną. Każdy, kto się doń zbliżył, rozumiał, że ten człowiek żyje godziną, do której się przygotował. W dniu objęcia komendy, przeznaczony do obrony przegrupowania armji alzackiej, zdawał się zakrywać ją swem ciałem. Pod koniec października Arras zda się stracone; Barbot odmawia opuszczenia miasta — i przez to je ratuje.

Kiedy pierwszej zimy rozpoczyna się monotonne życie w okopach, Barbot nie czuje się dobrze w zastoju operacji wojennych. Spędza całe dnie, niekiedy i długie nocne godziny, w pierwszej linji, baczny na drobiazgi, starając się zbadać wszelkie szczegóły organizacji obronnej i reakcji nieprzyjaciela. Rozmawia z ludźmi, umie znaleźć słowa, które krystalizują wolę i podniecają odwagę. To prostota obejścia, tak daleko od zaznaczania swej wyższości, stworzyła wspólność myśli i zjednoczyła uczuciowo ludzi, którzy dążą do tego samego celu i wystawieni są na te same niebezpieczeństwa. Barbot, na oczach ludzi ma tylko trzy troski w sercu: ojczyznę, żołnierzy, zwycięstwo.

Dnia 9-go maja wszystkie ziarna, które Barbot posiał w duszach podkomendnych, oddanych mu bezgranicznie, zakiełkowały. Atak przygotowano w najdrobniejszych szczegółach; plan przestudjowano do najmniejszej ścieżki; cele armat wymierzono z możliwą precyzją. Zapał gorący towarzyszył tym przygotowaniom; Barbot dodał do nich całą swą wiedzę wypróbowanego taktyka. Na dany sygnał rzuciły się wojska i w ciągu dwu godzin niespełna zajęli wzgórze, u którego stóp rozciągała się równina Lens.

Ale ten sukces okupiono drogo. 10-go maja tak, jak gdyby właśnie już wypełnił swój obowiązek — padł śmiertelnie ranny Barbot w chwili, gdy badał kierunek pocisków nieprzyjaciela. Umierał ze słowami na ustach: piękny, piękny dzień, pełen chwały, zwycięstwo!

Jenerał Barbot potrafił zdobyć zaufanie żołnierzy. Czyż można dowódcy dać większą pochwałę? Zaufanie jest na polu bitwy, obok karności, twórcą wszystkich aktów odwagi, najśmielszych poczynań.

Jest obowiązkiem przedewszystkiem młodszych przełożonych, oficerów i kapitanów, by dawać z siebie przykład stały cnót woskowych. Od solidności tego stosunku, od zdolności fachowych, od inicjatywy wobec sytuacyj ciągle nowych zależy wynik działania. Najpiękniejsze posunięcia idą na marne, najdogodniejsze sposobności pozostają niewyzyskane, jeżeli niema tej pewności, że żołnierz, ta najmniejsza komórka w piekle bitwy, pójdzie bez wahania za nimi. Ich rola jest podstawowa.

Obowiązkiem dowódcy wyższego jest czuwanie, aby podległe mu oddziały stały na wysokości zadania, aby miał do siebie zaufanie i to zaufanie wzbudzał u swych podwładnych.

W miarę, jak się wznosimy w hierarchji, stosunki bezpośrednie między szefami i wojskami stają się coraz trudniejsze wskutek rozległości frontu i głębokości tyłów. Ale jeżeli bezpośredni kontakt jest niewykonalny w samym momencie bitwy, dowódcy winni się zbliżać do swych wojsk w okresie spokoju. Tysiąc okazyj znajdzie prawdziwy dowódca, aby się zainteresować kadrami i ludźmi, dać im dowód troszczenia się i przywiązania. W jakichkolwiek okolicznościach żołnierz nie powinien nigdy odczuć, że troska o niego jest na drugim planie.

Gotów na poświęcenie życia, żołnierz ma prawo wymagać, aby z tego życia zrobiono dobry użytek. W jego oczach — i słusznie — wartość fachowa dowódcy nabiera pierwszorzędnego znaczenia. Wyraża się ona w czasie wojny granicą możliwości ludzkich i materjalnych, które dają dowódcy możność dokonania wyboru pomiędzy rozwiązaniami, jakie mu się nasuwają, i porównania wysiłku i ryzyka z rezultatem, jaki się da osiągnąć. Chodzi więc o kalkulację zimną i metodyczną, stawiającą w pełnem świetle odpowiedzialność, jaką się bierze.

Gen. Barbot nie potrzebował czynić żadnych wysiłków do pozyskania zaufania swych ludzi. Kochał ich — znalazł więc instynktownie drogę do zdobycia ich serc, rozumu i zupełnego oddania.

Ten problemat zaufania wykracza zresztą poza kadry wojskowe. Jest problematem wszystkich czasów, wszystkich krajów, wszystkich zbiorowości, gdzie się ścierają sprzeczne interesy, gdzie na jednych spoczywa ciężar kierowania losem lub bytem materjalnym tysięcy innych. Bez względu na jego formę, rozwiązanie problematu znajduje się w ścisłej ocenie przez szefów możliwości ludzkich, w ich stosunku do podwładnych, w troskliwej pieczy nad słabymi, w obronie zbiorowości, którą przeciwstawiają teorjom wywrotowym i niszczycielskim.

OD WYDAWNICTWA

Wobec licznych reklamacyj, zwracamy uwagę, że niezgodność numeracji, która wielu czytelników wprowadziła w błąd, jest obowiązującem następstwem konfiskat. Prosimy się zatem orjentować nie według numerów, lecz według daty, która stale przypada na niedzielę.

Przemówienie premjera

Mężowie stanu różnych krajów szukają zbliżenia i kontaktu z młodzieżą. Jak to wygląda w Anglji, dowiadujemy się z mowy ustępującego premjera Wielkiej Brytanji Stanleya Baldwina, który ostatni raz zabrał głos na zebraniu młodzieży angielskiej, przybyłej z wszystkich krajów imperjum na uroczystości koronacyjne. Podajemy najważniejsze ustępy. (Red.).

Godzina moja przemija, odchodzę w cień, ale wasze życie jest przed wami, podobne do bezkresnego oceanu, a wyobraźnia młodzieńcza może wypuścić na te wody całe flotylle marzeń. Nietylko jednak młodzież miewa marzenia i nietylko starsi miewają zdolność przewidywania. Ja sam mam skłonność do marzeń a wy, jestem przekonany, posiedliście zdolność przewidywania. Połączmy więc Waszą ochotę do życia, odwagę i energję z mojem doświadczeniem.

W następnem ćwierćwieczu, w którem będziecie odgrywać wybitną rolę na świecie, staną przed wami wielkie zagadnienia. Będą to zagadnienia umiejętności rządzenia. Narody świata po okropnościach wojny nie mają więcej złudzeń i szukają skwapliwie tego, co, w swojem pojęciu, uważają za najlepsze formy rządzenia a to w celu znalezienia szczęścia, bezpieczeństwa i dobrobytu.

Podkreślam więc zainteresowanie do sztuki rządzenia. Brzmi to nieco dziwnie, ale proszę wraz ze mną zastanowić się przez chwilę. Możecie nie mieć ani skłonności ani okazji do prowadzenia polityki, możecie wogóle nie mieć chęci zajmowania się nią, ale każdy rząd coraz bardziej i bardziej dąży do wywierania wpływu na życie indyduum i jeżeli wolność jednostki jest zachowana, to każdy będzie mógł krystalizować swoje zdanie i wydawać swój sąd. Jest to podstawa rządów demokratycznych. Bardzo mądry człowiek, który żył pięć pokoleń przed nami, Edmund Burke, powiedział: „Chcąc spełniać dobrze i mądrze swe zadania obywatelskie, koniecznem jest przygotować umysł, wychowując w nim dojrzałość i dzielność, oraz szlachetność uczuć, co zresztą jest właściwe naturze ludzkiej. Stosować w życiu publicznem i na służbie publicznej takie samo godziwe postępowanie, jak w życiu prywatnem, znaczy być patrjotą, to znaczy być gentlemanem".

My schodzimy z areny życia. Wy jesteście budulcem przyszłości. Przekazujemy wam obowiązek strzeżenia tego, co jest najcenniejsze w naszej przeszłości, co jest naszym spadkiem a mianowicie: nasze tradycje, nasz honor i nasze nadzieje.

Piękno ziemi jest wasze, zielone drzewa i pola, rzeki, łąki i wzgórza podobnie jak inne skarby, skarby literatury i sztuki. Te wszystkie przez wieki nagromadzone bogactwa przekazujemy wam, abyście mogli z nich korzystać i własnym także wysiłkiem powiększyć. Jesteście opiekunami wszystkiego, co jest w tym wspaniałym świecie. To, co dano wam w zaufaniu, musicie utrzymać dla następnego pokolenia. Zadaniem waszem jest obrona demokracji, w którejkolwiek części imperjum bę-

dziecie żyli, demokracja musi być bronioną na zewnątrz i na wewnątrz a również bronioną przed samą sobą. Powinniście pokazać całemu światu, że niema nic w zasadach, celach i metodach demokracji, coby społeczeństwu przynieść mogło zaniepokojenie, obawę zmarnowania wspólnego dobra lub lekceważenie sprawiedliwości.

Odwaga, karność i talenty jednostek, oto co przedewszystkiem potrzeba demokracji i to w większym jeszcze stopniu, niż dyktaturze. Demokracja poza sobą niema żadnej innej siły. Demokracja to sposób rządzenia przy pomocy zaufania i siły charakteru. Demokracja wymaga od was, abyście ją nienaruszoną a w całem imperjum udoskonaloną przekazali następnemu pokoleniu.

Urodziłem się w roku, w którym świat zobaczył dwie rzeczy, mające znaczenie symbolu: wydrukowano wtedy „Kapitał” Marksa, tę ewengelję fatalizmu ekonomicznego, a u nas równocześnie Disraeli rozszerzył prawo wyborcze w stosunku do klasy pracującej, dając tem dowód zaufania i wiary w zasady wolności. Wymieniam te dwa zdarzenia, gdyż są one kluczem do zrozumienia tego wszystkiego, co odtąd się stało na przestrzeni lat 70.

Nie każdemu dano zrozumieć ducha czasu, w którym żyje. 20 lat minęło od wojny a rachunki nie są wyrównane. Po wyzwoleniu przyjść może nowa niewola a chwila zwycięstwa może być początkiem przegranej. Dnie, które dały kształt Lidze Narodów, były dniami, w których podpisywano traktat pokoju. Jakież zaufanie posiadają dzisiaj te dzieła, czy zmienią się kiedyś? 20 lat temu na pytanie to odpowiedziałbym stanowczo: tak, dziś jednak nie umiałbym tego powiedzieć. Bo wolność, która była owocem zwycięstwa, narażona jest raz jeszcze na niebezpieczeństwo w naszem państwie, a to dlatego, że o d e b r a n o j ą o b y w a t e l o m i n n y c h p a ń s t w. Ostatnie 20 lat można dokładnie analizować z politycznego i gospodarczego punktu widzenia. Można mówić o winach traktatu pokojowego, o winach bankierów, mężów stanu, przywódców partyjnych, ale, czyniąc z pół tuzina wybitnych polityków kozłami ofiarnemi, w niczem nie zmienimy faktu, że Europa dzisiejsza, nie pozostając ani w stanie wojny ani pokoju, ciągle się zbroi. Oto pełna melancholji odpowiedź dla wszystkich miłośników pokoju. Gdzieindziej zaś o pokoju mówi się jako o złym śnie, a wojnę gloryfikuje się jako stan idealny. Ale dopóki będzie istnieć Imperjum Brytyjskie, dopóty głos nasz rozlegnie się przeciw owym błędnym i skażonym przesłankom.

Niech mi wolno będzie w mojej ostatniej mowie, którą wygłaszam jako premjer, wypowiedzieć credo, podzielane, jak mniemam, przez miljony ludzi różnych ras olbrzymiego Imperjum. Przestaliśmy być wyspą, staliśmy się Imperjum. Gdzie tkwi tajemnica naszego trwania i naszych sukcesów? W wolności, którą daliśmy sobie, uporządkowawszy zasady wolności i siły w granicach prawa, w społeczności, w którem władza i wolność w należytym pozostają stosunku, w imperjum stworzonem dla pokoju i wolnego rozwoju jednostki. Zniknęła już stara doktryna o boskości władzy królewskiej, ale zniknęła nie dlatego, by dać początek drugiej: o b o s k o ś c i w ł a d z y p a ń s t w o w e j. Państwo jest jedynie tylko wtedy coś warte, jeśli szerzy szacunek dla wolnego obywatela.

Młody król i królowa, którym w tych dniach wszyscy oddajemy hołd, są sługami suwerennego narodu, a król jest symbolem zjednoczenia nie tylko imperjum, ale i społeczeństwa. To są wartości, wynikające z zasad religji chrześcijańskiej. Musimy ją uważać za coś najwyższego. Czy jakaś fantastyczna idea o bezgranicznej wolności nie prowadziłaby nas na bezdroża, a może ku barbarzyństwu? Cóż pozostanie, jeśli odrzucimy prawdę religji? Bezczelność władzy i okrucieństwa despotyzmu. Pogląd na religję jako na opjum dla ludu może doprowadzić tylko do uznania, że wolność obywatelska i wolność polityczna są także narkotykami. Owoce wolności nie rosną w ogrodzie tyranji, tylko niewolnictwo jest chwastem, rosnącym na każdym gruncie. Związek braterskich narodów w Imperjum brytyjskiem ma mocne korzenie dzięki naszej doktrynie o istotnej godności duszy ludzkiej. To jest angielska tajemnica, której trzymaliśmy się, a byliśmy słabi wówczas, gdy zaczęliśmy jej hołdować. Odchodząc, proszę was przekazywać tę tajemnicę z rąk do rąk po wszystkich drogach imperjum, tak, jak każdą prawdę, która ma być następnym przekazana pokoleniom. Traktować ludzi należy jako cel a nigdy jako środek i trzeba żyć dla braterstwa, które zrealizowane jest błogosławieństwem Boga.

Oto są moje tezy. Podnosiłem je i omawiałem je w setkach przemówień. Dziś jednak najlepiej postąpię, przekazując wam posłannictwo ich urzeczywistnienia.

Kronika zagraniczna

NIE PRZEZ PARYŻ...

P. min. Beck po pobycie w Londynie powrócił do Warszawy przez Brukselę, gdzie konferował z premjerem van Zeelandem i ministrem Spaakiem. Projektowany wyjazd do Paryża nie doszedł do skutku. Oficjalnie z powodu odłożenia otwarcia pawilonu polskiego na wystawie paryskiej. Czy faktycznie tylko z tego powodu? Wszak inni ministrowie zatrzymali się w Paryżu, choć nie inaugurowali pawilonów swych krajów. Sądząc z głosów prasy paryskiej bardziej zaważyła tu — podróż do Bukaresztu i akcja przeciw Lidze Narodów, ujawniające nowe rozbieżności pomiędzy linją polityki polskiej a linją polityki francuskiego sprzymierzeńca. W każdym razie ominięcie Paryża da nowy asumpt do rozmaitych przypuszczeń co do stosunków pomiędzy sprzymierzonemi państwami. Kto ciekaw szczegółów, niech przeczyta korespondencję z Warszawy dra Waldemara Lentza w „Völkischer Beobachter” z dn. 15 maja p. t. „Front nach Osten“.

GENEWA REDIVIVA.

Zaczyna się, po długiej serji niepowodzeń, renesans Ligi Narodów. To jest bodaj najważniejszy rezultat obrad dyplomatycznych w czasie koronacji londyńskiej. Anglja, Francja, i Rosja sowiecka, a wraz z niemi przeważna część państw średnich i małych potwierdziły swą wierność dla instytucji genewskiej i dalsze opieranie swej polityki na jej zasadach. Umilkły głosy o zamiarze Włoch wystąpienia z Ligi. Przeciwnie, dano właśnie z tej strony do zrozumienia, że Włochy byłyby gotowe powrócić do Genewy, byleby tylko załatwiono sprawę abisyńską, do czego zresztą demokracjom zachodnim wcale się nie śpieszy. Nawet w Niemczech znów pisze się o możliwości powrotu do Ligi, byleby wytargować rewizję jej statutu, zwłaszcza zaś 16 artykułu paktu. Nic dziwnego, że rewizyjne zapowiedzi p. min. Becka znalazły tam doskonałą prasę. Nie znalazły natomiast aprobaty ani w Paryżu ani w Londynie. I nie znajdą chyba w Polsce, która jest przedewszystkiem zainteresowana w utrzymaniu postanowień paktu, utrudniających t. zw. „pokojową“ rewizję granic i umożliwiających przyjście z pomocą państwu napadniętemu. Inicjatywa p. min. Becka nie może liczyć na poparcie społeczeństwa polskiego. Należeć będzie do tych inicjatyw, które pogłębiają rozbieżność pomiędzy kursem polityki oficjalnej a opinją publiczną. A w takich wypadkach nie jest naogół wątpliwe, kto à la longue zwycięży...

KU LIKWIDACJI WOJNY DOMOWEJ W HISZPANJI.

Rezultatem ogólnego odprężenia w stosunkach europejskich i rosnącej przewagi państw demokratycznych zachodu będzie przedewszystkiem likwidacja wojny domowej w Hiszpanji. Na frontach nic się nie dzieje. Nowy rząd w Walencji nosi charakter bardziej umiarkowany od rządu Caballero. Komitet nieinterwencji w Londynie uchwalił jednomyślnie wezwanie do obu stron walczących, aby stosowały bardziej humanitarne metody walki. A za kulisami toczy się wielka akcja angielska w zainteresowanych stolicach europejskich w sprawie zawieszenia broni, wycofania „ochotników“ i zlikwidowania zatargu. Akcji tej nie jest obcą także i Stolica Apostolska, a widoki jej, mimo wahań Włoch, oceniane są pomyślnie. Nie oczekujemy oczywiście rezultatów natychmiastowych: zbyt wiele nagromadziło się w Hiszpanji nienawiści i nieufności, a około Hiszpanji zbyt wiele sprzecznych interesów, aby likwidacja mogła nastąpić w szybkiem tempie. Może będą nawet jeszcze momenty dramatycznego napięcia a na frontach zrywy ofensywne. Ale wszystko wskazuje na to, że punkt kulminacyjny walk w Hiszpanji już został przekroczony i zwolna idzie ku uspokojeniu. Między dwiema skrajnościami staje front trzeci. I tylko nikt już nie przywróci życia poległym, a pokolenia całe będą musiały pracować nad usunięciem ruin i naprawianiem szkód.



O SENSIE LEGJONÓW.

(Rozważań w rocznicę Kaniowa c. d.).

Tragizm subjektywny Legjonistów, był odbiciem tragizmu objektywnego Legjonów. Tragedja Legjonów była nieunikniona, dlatego tragedja, że nieunikniona: Zderzyła się pewna przyczynowość z pewną celowością. Legjony musiały być, ale nie wolno im było rozwinąć się. A to zawsze jest tragiczne i bardzo smutne.

Przyczynowość działała ta, że Galicja, od pół przeszło wieku, była tym „Piemontem polskim", do którego schronił się i romantyzm polski, lecz i organiczna praca polska, tu dokonywana w warunkach swobody wyjątkowej. Organicyzm i romantyzm zlały się w Galicji w jedno: Właściwie wszystko, co się tu robiło, od eleuterji i fotbalu począwszy, a na turystyce i kółkach rolniczych skończywszy, to była namiastka powstania i przysposobienie wojskowe. Szkoła galicyjska, humanistyczna i romantyczna — (wielkie to kłamstwo, że „austrjacka", owszem, aż ostentacyjnie polska!) — wychowywała pokolenia żyjące mitem Powstania. Rodziny galicyjskie, mniej lub więcej świadomie ten mit chowały i żywiły, niemniej czule, niż inne w innych dzielnicach, rodziny polskie patrjotyczne. Było to w sferze inteligenckiej, lecz i rdzennego mieszczaństwa, a potem, i między oświeconymi chłopami i robotnikami wprost elementem przyzwoitości pokazywać się dobrym Polakiem. Jeszcześmy tu nie słyszeli o niepodległościowcach z r. 1904 i 5, a już byli ci profesorowie Jordanowie i Pieniążkowie, co robili te swoje organizacje „ćwiczeń cielesnych młodzieży",. których właściwy sens każdy smarkacz rozumiał. Lęgły się po szkołach „tajne" organizacje narodowe i powstańcze, sympatyczne dziecinady, które miały jednak ten sens, iż świadczyły o duchu, jaki się burzył i fermentował. Wychowanek galicyjskiej oświaty śmiało rzec może o sobie, jak tajemniczy ów poeta Młodej Polski:

Bogowie mogił, jam był pojony
jak Wy — ambrozją i mlekiem lwów!

Na to wszystko przyszedł z Królestwa Pilsudski, na gotowe prochy rzucił pochodnię, intencjom powstańczym dał kształt metodycznego przysposobienia wojskowego. Powstaje Naczelny Komitet Narodowy, który musiał był powstać. Mimochodem a przy sposobności rozkłujmy tu jedną z mistyfikacyj historycznych, jedną z niesprawiedliwości:

Ten biedny Enkaen staje się rychło istną tête de Turc Niepodległościowców tych patentowanych — jako, że nie tyle o Polskę, wolną i niepodległą starał się, ile o jakąś większą, a jeszcze swobodniejszą Galicję... Prędko zapomnieli ci dziwni sędziowie, że gdyby nie N. K. N., toby ich wogóle nie było w historji wojny. Mogą w to wierzyć panie, chłopcy, poloniści, astronomowie i chemicy — że Legjony były armją „samodzielną" i „niezależną" samejże integralnej czystej i nieskażonej, Idei Niepodległości służącą: Ile kosztuje wyekwipowanie jednej kompanji ruszającej w pole, ile jeden dzień bitwy jednego pułku, ile potrzeba zakładów wojskowych za frontem, ilu ludzi wyszkolonych, ile forsy dla istnienia jednej brygady? Bez oparcia się o państwo niepodobna robić wojny tembardziej nowożytnej! Bez N. K. N-u Kadrówka byłaby została samotnym pociskiem wyrzuconym w pustą przestrzeń zagłady. Ale, z drugiej strony i fakt Kadrówki znakomicie się był przyczynił do powstania N. K. N. i do rozwinięcia się polityki filoaustrjackiej. Trzeba było ratować tych żołnierzy, nie było czasu na targi z Wiedniem. Były niewątpliwie pewne korzyści z istnienia takiej reprezentacji polskiej po tej stronie frontu; ale z istoty sytuacji dziejowej, wynikało, że wszystkie po tej stronie prace, że wszystka po tej stronie krew przelana, mogły mieć wartość polityczną tylko pośrednią i doczesną. Tem tragiczniej wznioślejsze było oddanie się sprawie Legjonowej tych wszystkich, którzy z dziejowej sytuacji zdawali sobie sprawę, a w Legjonach zostali, aby na wszelki wypadek być z bronią w ręku, zostali, snując swoje nieśmiałe „a przecież, a przecież, może coś z tego będzie"... Ta nadzieja z beznadzieją tak wytrwale siły zmagająca, to było coś całkiem innego, niż osławiony „polski ogień słomiany" — i to jest istotny, moralny sens i moralna Legjonów wielkość. Teraz idzie o sens ich polityczny. Były więc Legjony, ale nie wolno im było rozwinąć się. Bo cele Polski nie szły równolegle z celami Ludendorffa, który się chętnie oglądał za tym miljonem albo pół miljonem dobrego żołnierza — jakiego mu Polacy, tym razem przed szkodą mądrzy... nie dali... Ponad mit O Czynie (Czyn dla czynu...) wzniosła się trzeźwość polska, ponad „niepodległościowe" szykany o „znikczemnieniu" Polaków wzbiła się ta myśl, istynktowna lub świadoma, że jeśli z Niemcem pójdziemy, to jedno z dwojga. Albo padniemy razem z nim, albo razem z nim zwyciężymy; jeśli zaś zwycięży się Koalicję, to stanie się coś najgorszego: Sam na sam zostaniemy z rozszalałym zwycięzcą — i wtedy albo zostaniemy pokornie jego niewolnikami, pod ohydną błazeńską maską „niepodległości" w cieniu Niemiec, na obkrojonej Kongresówce — albo też zbuntujemy się; — ale wtedy będziemy przez zwycięzcę stratowani, stratowani jako „zdrajcy" niewdzięczni, stratowani tak gruntownie i metodycznie, ażeby się raz na zawsze na wiek wieków, Polak nie mógł podnieść z niemocy swojej i hańby. Któż byłby wtedy z nami?! Świat? Świat byłby pobity i bylibyśmy od świata znienawidzeni jako pruscy zoldnerzy pogardzeni jako lekkomyślni własnego losu sprawcy. Podsuwano nam nie jednego, lecz aż trzy króle papierowe, podprowadzali nam ułańskiego konika, ale myśmy czuli w nim trojańskie bydlę zdradzieckie i niestrudzenie powtarzaliśmy swoje Kalchasowe: „Ja się boję Danajców, nawet gdy dary przynoszą..."

Celowość polska wzięła górę nad tą przyczynowością, która sprawiła, że Legjony były. Następuje tragiczna (bo tragiczne jest wszystko, co już jest i jest wartościowe, a tymczasem inna wartość zakazuje mu być dalej...) — tragiczna więc następuje autolikwidacja Pierwszej Brygady. Na jej miejsce wstępuje Polska Organizacja Wojskowa, która już przeciw Centralnym działa. A teraz dzieje się coś szczególnego, na co warto zwrócić uwagę: Nie zostaje cofnięte żadne słowo obelżywe, które było rzucane przeciw tzw. „zdrajcom" z r. 1914, z Mszany Dolnej. Ba, teraz, kiedy Haller z II Brygadą, swej wytrwałości nie przekreśla i dalej snuje to legjonowe „a przecież... a przecież... może coś z tego będzie, (to samo, które do tej pory trzymało było Piłsudskiego i I Brygadę!) — i kiedy teraz jako c. k. Polski Korpus Posiłkowy, II Bryg. przyczaja się cierpliwie, ażeby na wszelki wypadek itd. — to teraz, coś dziwnego się dzieje: Że ta cierpliwość, że to przyczajenie się, bynajmniej nie są zrozumiane, dobrze i tak samo im rachowane, jak komu innemu cierpliwość z roku 1914! Ba, teraz dopiero „okazuje się", że wylazł z Hallerczyków „Galicjanin" i „Austryjak"! Teraz dopiero „okazuje się", że „miał rację" ten chór nienawistny i szyderczy, od początku zawodzący swoje oszczercze murmurando dookoła II Brygady i jej wodza, że to lichy gatunek Polaków i lichy — żołnierzy! II Brygada miała zaprawdę swój własny i osobny trunek goryczy, zgotowany jej przez tych właśnie, którzy powinni byli czuć się najbliższymi kommilitontami. Niesamowita poprostu, niepojęta, jakby magiczna, jakby lunatyczna, była ta zmowa mężczyzn i kobiet „niepodległościowych", których nie zdołało wzruszyć i zastanowić nic: Nawet ta przesmutna, z węgierskich lecąca pustaci piosenka, o pułkach „drugim i trzecim", co tam giną ze snem o Polsce, ale niewiadomo dla czyich korzyści"... Dziś wiele się zmieniło; już oficjalna historjografja inaczej się wyraża o II Brygadzie; Piłsudczyk Hołówko, który Drugą Brygadę widział na Ukrainie, z serdecznym respektem mówi o tej „Żelaznej" brygadzie. Smutne to były rzeczy, przesmutne, bo za cóż tak tych chłopców „szarpali za sukmankę ludzie"?... Choć wiele rehabilitacji uzyskała II Br., jeszcze wiele pozostało w opinji narodowej niedocenionem. jeszcze tylko nieliczni zdają sobie sprawę z tego, co było jej własną zasługą i prawdziwym politycznym sensem, a z nią i ogólnym sensem Legjonów:

Istotna wartość czynu Piłsudskiego (I Brygady) sfinalizowana została i zrealizowana przez czyn Hallera (II Brygady).

Tej tezy bronię aż do zachrypłego gardła i bitych szklanek, tj. tak, jak się broni spraw oczywistych. Proszę tylko posłuchać:

Główną ideą Piłsudskiego, którą snuł mimo rozczarowań jeszcze w Magdeburgu, jak o tem niektóre świadczą dokumenty, była budowa niepodległości przy pomocy technicznej, no i polityczno - wojskowej, Centralnych. Ale w cieniu tej myśli naczelnej kryły się dwie inne jeszcze, poniekąd uboczne, te jednak, jak się okazało, jedynie ziszczalne: Żeby pod koniec wojny mieć gotowe kadry wojska polskiego; żeby, kiedy słuszna przyjdzie chwila, móc „na szalę wojny rzucić szablę polską", mieć więc, na wszelki wypadek, choćby garść dobrych żołnierzy polskich. I tak się stało: Po pierwsze, — choć nową byłoby niesprawiedliwością zapominać o działaniach patrjotycznych oficerów i podoficerów Polaków z zaborczych armji... — to jednak fakt faktem, że legjoniści byli w nowo organizującej się armji polskiej elementem organizatywnym najbardziej decydującym.

A po drugie, co do zamiaru „na wszelki wypadek"... Owszem, taki wypadek, taka chwila, kiedy już można było i trzeba było „szablę polską rzucić na szalę wojny", już dla rzeczowych i bezpośrednich korzyści, a nietylko symbolicznych i pośrednich, owszem taka chwila nadeszła: To była ta przedostatnia godzina, kiedy k.k. Hilfscorps zrzucił maskę i okazał się II Brygadą Legjonów przyczajoną „na wszelki wypadek"...: Chwila Rarańczy a potem Kaniowa i tam dalej aż do armji polskiej we Francji. Bez Legjonu Hallera, Legjon Piłsudskiego, Legjony wogóle, byłyby się strawiły w szlachetnej ale dziejowo bezujściowej manifestacji, byłyby się strawiły we własnym tragizmie, byłyby pozostały nazawsze tylko historycznym epizodem. Czyn Hallera przeprowadzając Polskę do obozu Koalicji, był niezbędnem uzupełnieniem i dopełnieniem czynu Piłsudskiego, finalizacją jego i jego kwintesencją. Dopiero z perspektywy tego czynu, czyn Piłsudskiego — t. j. utworzenie Legjonów — da się widzieć w aspekcie historycznej wagi i rzeczowego sensu.

I gdyby rozmawiać o Legjonach, może nawet nie bez sprzeczek o to i tamto (jak to bywa u historyków), ale bez śpiewki o Czynie przez wielkie C „na najwyższe C, śpiewanej, o poszczególnych czynach Mężów, którzy wszyscy chcieli dobrze dla Polski, bez nienawistnych potępiań, lecz i bez mitologji i mistyfikacji, nie w kadenicznym półmroku legendziarstwa, lecz w świetle dziennem zwykłej historii — to wszyscy w milczeniu wstajemy, na baczność przed tą ideą — Ideą Legjonową — za którą ludzie płacili ceną swego życia — i swej tragedji... Chciałoby się wszystkim oddać, co się każdemu należy. Stało się inaczej. Kłótnia o czas przeszły wisi nad czasem teraźniejszym. Czas teraźniejszy przelewa przeszłości jady. Więc jakże ze zgodą?

Cyrano.

Disce puer...

Przez 8 miesięcy swego istnienia *Odnowa* doświadczyła już wiele przejawów sympatji i nieco goryczy od niechętnych. Tu i ówdzie pojawiały się wiadomostki a to o masonach, a to o agenturach zagranicznych, a to o ludziach zeszłego wieku. Krytykowano nieraz tam, gdzie życzliwie wyciągaliśmy rękę. Bywały wypadki, że w stronnictwach odżegnywano się od *Odnowy*, pomimo okazywanej im szczerej i bezinteresownej przyjaźni. Ki djabeł, ta *Odnowa*, pytano się na początku z niedowierzaniem. Ale jednocześnie pojawiały się setki (dosłownie) przedruków i coraz częściej zgadzano się z uczciwością poglądów, głoszonych w *Odnowie* przez znakomitych mężów stanu, uczonych i publicystów. *Odnowa* nie kupiła sobie zaufania, nie narzuciła go przemocą, nie oszachrowała reklamą, lecz zdobyła je ewolucyjnie jako naturalny wynik rzetelnej i odważnej pracy.

Atakowana przez nas prasa sanacyjna zachowała się inaczej i zgodnie z umiłowanemi metodami. Naprzód, monopolowe przedsiębiorstwo „Ruch" odmówiło nam kolportażu. Posiadamy wszystkie prawa publiczne *de nomine*, ale nie posiadamy ich *de facto*. *Odnowa* nie może dotrzeć do kjosków kolejowych i do wielu miejsc objętych wyłącznością „Ruchu". Następnie, zastosowano taktykę przemilczaczania. Najbardziej sensacyjne artykuły, najświetniejsze prace nie znajdowały tam echa. Nic nie zmieniały sytuacji modne obecnie hasła o połączeniu wysiłków, o porozumieniu. *Odnowa* miała utonąć w morzu zapomnienia. A że dołączyły się do tego kłopoty finansowe, związane z utrudnionym kolportażem i częstotliwemi konfiskatami, przeto oczekiwano tylko spokojnie upragnionego zgonu.

Sztuczne twory giną łatwo. Żywotne natomiast organizmy, wynikłe z potrzeby naturalnej, trwają pomimo rozmaitych przeszkód i przeciwności. W najlepszej glebie można sadzić pałki gumowe, albo siać kule i nie wyrosną z tego drzewka ani kłosy. Atoli wyrosną one z marnych patyczków wikliny i ziarnek zboża, chociażby warunki otoczenia były nieprzychylne. To samo stało się z *Odnową*. Przyjęła się, puściła korzenie, wyrosła i okrzepła.

Wówczas sanacja zauważyła istnienie *Odnowy*. Rozpoczęła się serja ataków.

Surowo przestrzegana przez nas uczciwość publicystyczna nakazuje przyznać, że zdarzały się ataki ostre w treści, jednak przyzwoite w formie. Czy dostosowano się do naszej metody, aby unikać personalnych wycieczek, czy z własnej i nieprzymuszonej woli utrzymano się w dyskusji rzeczowej, — wszystko jedno, dość, że nie dawano nam dotychczas wiele okazji do utyskiwania na poziom polemiki prasowej.

Aż tu nagle pojawia się artykuł wstępny w *Kurjerze Porannym* p. t. *„Odnowa czy wyprzedaż starych zabawek?"* podpisany pseudonimem Gamma. Powinien być podpisany: Walet, bo wtedy tłumaczyłby się bez komentarzy tytuł i dostrojona do niego treść. Pominęmy jednak nagłówek i osóbkę autora, poświęcając po raz pierwszy nieco miejsca zarzutom, jakie tamta strona przeciwko nam formułuje.

Teza pierwsza: „w Polsce trudno jest sklecić porozumienie...", natomiast „można skojarzyć najnieprawdopodobniejszą koalicję, jeśli rzucić hasło walki z określonym kierunkiem"... Inaczej możnaby to wyrazić, że ponieważ np. Ozonowi się nie udało i wszyscy krytykują sanację, przeto „negatywizm polski" jest oczywisty.

Teza druga wymienia szereg prawd już jakoby bezspornych w Polsce. A więc, o bankructwie parlamentaryzmu, o rządach silnych i trwałych, o doskonałości konstytucji z 1935 r., o „frankofilstwie" p. B. Koskowskiego, o świetnej polityce zagranicznej szczególnie w ciągu „ostatnich 5 lat" (broń Boże za czasów p. Zaleskiego), co zyskało aprobatę p. St. Kozickiego i t. d. Słowem, cała „ideologja" pomajowa, która polega na tem, że jest „praktykologją" utrzymywania władzy i otrzymywania pieniędzy. Z dodatkiem nędznych insynuacyj przeciwko najzasłużeńszym ludziom.

Tutaj następuje charakterystyka „tygodniczka" *Odnowa*. A więc wpływy tygodniczka „sięgają władz 3 stronnictw..., wkraczają nawet do popularnych" dwu dzienników, połączyły w sympatyzującą grupę „b. ministrów, b. ambasadorów, b. premjerów", oddziaływują na jakiś klub polityczny (?), gromadzą biskupów, profesorów, emigrantów politycznych, publicystów, szefów partji i t. d. Ale wszystko w imię „negatywizmu" do istniejącego stanu rzeczy, bez żadnej przewodniej gammy w pracy konstruktywnej. Czyli, nie „tygodniczek", ale tygodniczysko, smok straszliwy i olbrzymi, żarłoczny i niszczycielski.

Trzeba dopomóc młodocianemu (jak widać) p. Gamma do orjentacji. Istotnie, pod względem wielkości i w stosunku do ogromu swoich współpracowników (a żeby pan wiedział, jacy się kryją pod pseudonimami! Ha!) *Odnowa* jest tylko „tygodniczkiem". Bo, widzi pan, nie mamy pieniędzy. Nie otrzymujemy zasiłków z pieniędzy podatkowych, „Ruch" nam utrudnia rozpowszechnienie, nie posiadamy mecenasów z funduszami dyspozycyjnemi, z emeryturami od 10 roku życia, na tłustych posadach, synekurach i t. d. To też odstrychnęli się od nas autorzy, którzy muszą bywać w kabaretach, wyjeżdżać zagranicę, pędzić własnemi samochodami. Poszli do innych pism, np. do... *Kurjera Porannego*.

I dzięki temu właśnie powstała pewna selekcja. Przy *Odnowie* zgrupował się odmienny gatunek ludzi — bez węchu, bez ruchliwości w przekonaniach. Nikt tutaj nie podpisuje zobowiązań, że będzie głosić tylko te poglądy, które mu narzucą z góry. Ale też i szanujemy się wzajemnie. Już oprócz pana, panie Gamma, niejeden nuworisz dziwił się, że do jego bogatego domu lepsze sfery nie przychodzą z wizytami, podczas gdy do jakiegoś skromnego mieszkania idą tłumy rozmaitych notablów... Zrozumiałby pan to lepiej, gdyby mniej czytał np. feljetony Wiecha w pokrewnym organie (zresztą, doskonałe dla pewnego poziomu), a więcej wskazania biskupów, dzieła profesorów i — co tu obwijać w bawełnę — całą *Odnowę*.

Chcielibyśmy się odwzajemnić i przy okazji scharakteryzować *Kurjer Poranny*. Tymczasem — ani rusz. Jeszcze nie wyschła na nim farba po ostatniem, czwartem z rzędu, przemalowaniu. Jakieś to mętne, lepkie, niewyraźne... A przytem najbardziej znamienne dla waszego konstruktywizmu, panie Gamma. Ciekawa rzecz, kiedy odbędzie się w *Kurjerze Porannym* kolejna „wyprzedaż" nie „starych zabawek", lecz przekonań?

R. S.

Hasła

Najtrudniej jest ująć w jednem zdaniu hasło dla mas. Znakomite w swoim rodzaju slogany: „Pewność i zaufanie" czy „Cukier krzepi" musiały kosztować sporo zachodu. Oczywiście, znacznie łatwiej jest wypowiedzieć się w obszernej deklaracji, której... nikt nie zapamięta i nie usiłuje nawet zapamiętać.

W swoim czasie wymyślono wcale zgrabne hasło dla Pomocy Zimowej: „Gorące serca zwalczą mróz". Upłynęło sporo czasu i wobec zmienionej konjunktury letniej slogan ten przestał być aktualny. Ale i na to jest rada. Reżim pomajowy tak nas przyzwyczaił do zmiany nawet poglądów zależnie od konjunktury, że rzecz zdaje się nie przedstawiać większych trudności. Nie popieramy tylko używania, aktualnego na wszystkie pory roku, drugiego hasła Pomocy zimowej: „brak twojej ręki wśród bratnich rąk". Funkcjonarjusze „pomocy zimowej" zrozumieli je bowiem w zbyt już swoisty sposób.

Natomiast proponujemy:

„Zimne serca zwalczą upał" albo:

„Zimne serca nie zniszczą zapału"

i wtedy już całe społeczeństwo zrozumie dokładnie, o co chodzi.

ksi.

Banały

Pewien mąż był sławny. Zostawszy ministrem stał się sławetny.

SLAVE po angielsku znaczy niewolnik i — słowianin.

W języku staropolskim przymiotniki CZELNY i NACZELNY były synonimami. Dzisiaj tak samo.

Jeśli naród jest niemową, to jego rząd jest ślepcem.

Oświadczenia oficjalne są gazem rozweselającym, uśmierzającym ból przy operacji usuwania przekonań.

Policja całego świata usuwa zbrodniarzy, gdzie są, albo ich podsuwa, gdzie ich niema.

Najwyższy podatek luksusowy płaci się od wolności w krajach nędznych.

Brewerje pijanego są wtedy dopiero straszne, gdy upił się władzą.

Przemoc nie obawia się mocy większej, lecz jedynie poczucia godności.

Er.

De Guiche — *Waść Don Kichota czytałeś?...*
Cyrano — *Czytałem.*
I głowę przed tym wzniosłym kłonię sowizdrzałem!...
De Guiche — *Więc polecam...*
Rozdział, gdzie opisuje walkę z wiatrakami...
Cyrano — *Rozdział trzynasty!...*
De Guiche — *Właśnie, bo się czasem zdarza,*
Że tego, co napadać na nie się odważa...
Cyrano — *Napadam więc na ludzi, których wiatr obraca?*
De Guiche — *Wiatrak młyńcem swych ramion po żebrach pomaca —*
I porwawszy go w wiry napowietrznej jazdy,
Wbije w błotną kałużę...
Cyrano — *Lub unosi — w gwiazdy!*

Edmund Rostand — „Cyrano de Bergerac". (Przekład Marii Konopnickiej i Włodzimierza Zagórskiego). Scena z aktu II — (Paszteciarnia poetów).

Przejaśnienie

Interpretując w artykule p. t. „Osobliwy Paradoks" twierdzenie niejakiego majora Galinata w „Polsce Zbrojnej" z dnia 26/IV b. r., że „Obóz Zjednoczenia Narodowego to chyba już ostatnia próba pokojowego zorganizowania regularnej armji społecznej tuż za awangardą armji stałej", nie byłem pierwszym w tego rodzaju rozumieniu. Już bowiem przedtem cały szereg dzienników i tygodników zrozumiał tę „pokojowość" jako groźbę przymusu. „Polska Zbrojna" jest pismem codziennem. Pan major Galinat na wszystkie te odgłosy prasy wcale nie zareagował .Mam więc dwa punkty zaczepienia w obronie mego stanowiska: pierwsze, że inni też tak jak i ja rozumieli i dali temu wyraz w swoich pismach drugie, że milczenie pana majora mogło być rozumiane jako pośrednie stwierdzenie trafności interpretacji prasy.

Dalekorzędną jest zresztą dla mnie sprawą, czy ktoś w stosunku do mnie takich czy innych będzie używał wyrazów. Jest to zapewne forma wojskowego podciągania się wzwyż. Wdzięczny natomiast jestem panu Majorowi za teraz całkowicie jasne określenie pozytywnego stosunku do Konstytucji kwietniowej i pokojowych wobec społeczeństwa zamiarów, jeżeli jednak „ostatnia próba" nie ma stanowić zapowiedzi przymusu duszenia się ozonem, to możliwą staje się tylko druga alternatywa: że gdy się akcja obozu Koca nie uda, to wojsko cofnie się do koszar, a społeczeństwu zwrócona będzie wolność wewnętrzna. Wrócą warunki polityczne 1920 roku, kiedy to wewnętrzna wolność dała narodowi „cud nad Wisłą". Inaczej interesujące słowa „ostatnia" i zarazem pokojowa próba nie miałaby wogóle żadnego sensu. — Albo więc jedno, albo drugie: tertium non datur.

Jeżeli takiem jest stanowisko i „Polski Zbrojnej" i jej mocodawców, to mogę śmiało przeboleć wszystkie epitety. Dostateczną mi będzie satysfakcja, że mój właśnie artykuł spowodował tak cenne wyjaśnienie.

Przypomina pan major, że chwila obecna zbliżona jest do grozy sytuacji w roku 1920. Gdyby jednakże tak i było, to może Pan być spokojnym, że ani p. Koc ani Pan, nie zastąpicie Rady Obrony Państwa, grupującej podówczas największe nazwiska wszystkich stronnictw w Polsce. Śmiesznem jest akcję ozonu stawiać na tej płaszczyźnie. Wtedy bez jakichkolwiek nacisków stanęło przy Radzie Obrony całe społeczeństwo, bo broniło nietylko wolności zewnętrznej, lecz istniejącej jeszcze wówczas i pełnej wolności wewnętrznej. Gdyby lekceważony dzisiaj naród nie był wówczas wyruszył na front, nie byłoby dzisiejszych wielkości. Jeśli też chwila podobna zaistnieje, to będzie musiała się oprzeć na zaufaniu w narodzie, a nie na cywilnych występach różnych maruderów.

Teraz zaś przejdziemy ad personam.

Twierdzi pan major, że mi „strach o własną partyjną skórę odbiera możność rozumienia sensu najprostszych zdań".

A gdzież to pan major w mojej obronie Konstytucji znajduje „partyjność"?. Skoro pan jednak sam twierdzi, że „strach" odbiera mi możność rozumienia, to przecież jasno przyznaje pan tem samem rację istnienia tego „strachu".

Idźmy dalej po linji pańskiego rozumowania.

Jeśli więc w jednem miejscu odbierał mi pan tak łatwo „możność rozumienia", to jakżeż można w innem miejscu tego samego artykułu dowodzić mi „fałszerstwa" dziennikarskiego. Tak pan podkreśla swoje cechy żołnierskie, że może dobrze byłoby zdecydować się jasno, co ma mi pan zarzucić: niezrozumienie czy fałszerstwo. Jedno bowiem wyklucza absolutnie drugie.

Uważa pan wreszcie, że kryję się za pseudonim. Nie moja to przecież wina. Gdybyśmy żyli w Anglji, to ja pisałbym pod nazwiskiem a pan nie miałby potrzeby szukania autora. Kwestjonuje pan moją uczciwość, że nie pisuję pod nazwiskiem. Otóż pamięta pan zapewne, jak to niedługo po zamachu majowym zbito we własnem mieszkaniu Jerzego Zdziechowskiego, wywieziono na glinianki i zbito pisującego pod nazwiskiem Adolfa Nowaczyńskiego, jak mu później wybito jedno oko, jak wreszcie również wywieziono i sprano Mostowicza. Pańska etyka pozwalała panu wówczas milczeć. Nie gromił pan w prasie, publicznie, pod nazwiskiem, owych „nieznanych" sprawców, którzy tak bardzo głęboko pojęli „ideologję". Nie szukał pan wówczas, kim byli napastnicy, chociaż bito bezbronnych a pan jest oficerem .

Albo to więc było zgodne z pańskiem poczuciem honoru, albo pan major właśnie miał „stracha".

Ani zaś jedno ni drugie nie kwalifikuje pana na mentora.

Nie wypada mi też przypuszczać, że swoją formą nakłaniania mnie do odsłonięcia przyłbicy: chce mię pan major zapoznać z drogą do glinianek.

S. o. s.

WITOLD HUBERT.

Dążenia Polski ku Bałtykowi

Dążenie Polski do Bałtyku przewija się przez całe dzieje nasze. Zaczyna się ono od chwili, kiedy Polska zjawia się na widowni europejskiej, tj. w wieku X, stanowi treść polityki dynastji piastowskiej, święci największy tryumf za Jagiellonów, załamuje się za Wazów, odżywa na krótko przy Sobieskim, milknie za Sasów, znów zaczyna się odzywać za Stanisława Augusta, głuchnie zupełnie w wieku XIX, tj. kiedy Polska traci byt państwowy, i dochodzi do głosu wraz z wskrzeszeniem Rzeczypospolitej.

Dążenie narodu ku morzu jest zjawiskiem powszechnem. Wypływa to zjawisko z odwiecznego pędu każdego człowieka do uzyskania jak największej ilości źródeł nowych bogactw w celu polepszania swego bytu. Jest jasnem, że wszelkie poszukiwania wymagają dwóch rzeczy: 1) chęci do takich poszukiwań, będącej sprawdzianem energji, a zatem tężyzny, oraz 2) odpowiedniej drogi, ułatwiającej podróż rozpoznawczą. Tu właśnie występuje morze, które, dzięki swym trzem zaletom komunikacyjnym: rozległości, dostępności i taniości, było, jest i, według wszelkich danych, długo jeszcze będzie najdogodniejszą arterją drogową zarówno w stosunkach pokojowych, jak w wojennych.

Dążył ku morzu każdy naród, kiedy się poczuł na siłach, a cofał się od niego, kiedy słabnął. Znów liczne przykłady nam daje historja. Wystarczy wspomnieć o Rzymianach w starożytności, Arabach, Niemcach - Hanzeatach, Skandynawach i Wenecjanach w średniowieczu, Anglikach, Francuzach, Hiszpanach i Holendrach w czasach nowożytnych, wreszcie Japończykach, Niemcach i Rosjanach, a ostatnio Włochach w czasach najnowszych. Myśmy nie stanowili wyjątku pod tym względem, dość przypomnieć sobie, gdzie powstało państwo Polskie i jakie były jego drogi wyjściowe.

Ośrodkiem państwa naszego były okolice nadgoplańskie. Jezioro Gopło, zajmujące we wczesnem średniowieczu obszar daleko większy od obecnego, leżało na prastarym gościńcu handlowym, wiodącym od rzymskiej Vindobony (dzis. Wiednia) dolinami rzek, przez Sudety, potem przez Śląsk, na Kalisz i rozwijającym się właśnie nad Gopłem na dwa szlaki: zachodni Odrą i wschodni Wisłą. Tym gościńcem posuwały się karawany kupieckie, poszukujące w borach nadodrzańskich i nadwiślańskich najcenniejszego towaru roboczego, krzepkich niewolników słowiańskich, a na dalekiem wybrzeżu Bałtyku — idącego na wagę złota bursztynu.

Tym samym rozwidlonym szlakiem, Odrą na zachodzie i Wisłą na wschodzie, ruszyli Piastowie z nadgoplańskiej Kruszwicy. Druga połowa X wieku daje nam obraz Mieszka I-go, będącego już panem na Pomorzu Wschodniem, nadwiślańskiem, i walczącego uparcie z normandzkimi Duńczykami i ludnością miejscową o Pomorze Zachodnie, nadodrzańskie. Bolesław Chrobry jest władcą Szczecina, a całe wybrzeże morskie między ujściami Odry i Wisły stanowi część monarchji piastowskiej. Reakcja pogańska oddaje to wybrzeże w ręce Duńczyków, lecz ugruntowani z powrotem Piastowie, zaczynając od Kazimierza Odnowiciela, rozpoczynają znów podbój Pomorza. Kończy się ten podbój wspaniałym sukcesem Bolesława Krzywoustego, który mając po ojcu Pomorze Wschodnie, przyłącza do ojcowizny Pomorze Zachodnie i zajmuje Rugję. Początek XII wieku jest apogeum wytrwałych dążeń bałtyckich, kierowanych przez Piastów.

Po śmierci Krzywoustego następuje okres podziałów,a nad Bałtykiem, niezależnie od poprzedniego współzawodnika, Duńczyków, zjawia się nowy, Niemcy, idący od Łaby. Działa ten przybysz w trzech kierunkach: wojskowo, prąc wyprawami Krzyżowemi najpierw ku ujściu Odry, a potem Wisły, misyjnie, zakładając siedliska zakonów rycerskich nad dolną Wisłą (Krzyżacy) i dolną Dźwiną (Kawalerowie Mieczowi) i handlowo, tworząc związek kupiecki, Hanzę, zapuszczającą swoje macki nietylko w słowiańskich miastach nadmorskich, jak Lubice (obecnie Lubeka), Szczecin lub Kołobrzeg, lecz również w grodach zaplecza, jak Wrocław, Kraków czy Toruń. Niemcy w tym pochodzie na Wschód („Drang nach Osten") rugują jednocześnie Polaków i Duńczyków. Pierwsi tracą za Kazimierza Sprawiedliwego Pomorze Zachodnie, a za Kazimierza Wielkiego — Wschodnie, a drudzy ustępują to przed margrabiami brandenburskimi, to przed Hanzą. Koniec wieku XIV staje się perigeum naszych dążeń bałtyckich, któremi wciąż jednak kierują Piastowie (Leszek Biały, Władysław Laskonogi, Władysław Łokietek).

Ta wytrwała praca piastowska, uznana za własną przez naród, doprowadziła do unij personalnych przeciwko nawale niemieckiej. Po nieudaniu się koncepcji polsko-węgierskiej staje unja polsko-litewska Jagiełły, dająca w 1410 r. pogrom grunwaldzki zakonu Krzyżackiego. Jednocześnie między zakonami rycerskiemi z jednej strony, a związkiem Hanzeatyckim z drugiej strony powstają zatargi na tle gospodarczem, a ludność państw zakonnych (słowiańska na roli, niemiecka w miastach) powstaje przeciwko zakonnikom. Polska bierze pod opiekę powstańców, i Kazimierz Jagiellończyk po 13-letniej wojnie odzyskuje zagrabione za ostatnich Piastów Pomorze Wschodnie oraz przyłącza obszar nadbałtycki między ujściami dolnej Wisły i dolnego Niemna (dziś Prusy Wschodnie). Pomorze wraca, jako własność bezpośrednia, a Prusy — jako pośrednia przez lenno. Polskie dążenie morskie, dążenie Polski piastowskiej, wzmaga się w Polsce jagiellońskiej.

Zygmunt August sięga dalej, opanowując ziemie Kawalerów Mieczowych nad Dźwiną i uzyskując po 7-letniej wojnie Północnej brzeg morski do ujścia Niemna po zatokę Fińską. Nowe zdobycze, wzorem lat poprzednich, wcho-

dzą w skład państwa polskiego częściowo bezpośrednio (Inflanty i Estonja), częściowo — pośrednio przez lenno (Kurlandja). Ten stan posiadania utrzymuje w całości Stefan Batory, odrzucając nowego współzawodnika nad Bałtykiem, Ruś Moskiewską. Koniec XVI stulecia jest okresem naszego największego władania nad morzem Bałtyckiem. Linia brzegowa o długości 1000 klm. ciągnie się od jeziora Żarnowieckiego do zatoki Fińskiej.

W następnym wieku XVII trwa początkowo wielki pęd Polski, i pęd ten wyraża się w zawarciu unji polsko-szwedzkiej. Atoli Zygmunt III-ci zawodzi pokładane nadzieje zarówno w Polsce, jak w Szwecji. Następują, zamiast unji, 60-letnie zapasy, a Rzeczpospolita zaczyna tracić cały dorobek jagielloński. Odpadają kolejno Estonja, Inflanty i, co najważniejsze, Prusy. Jednocześnie wzrasta napór od Wschodu ze strony Moskwy, Turcji i Tatarów. Stara się zahamować ten napór Jan III-ci, widząc przyszłość Polski nie na wschodzie, dokąd ją spychają Niemcy, lecz na zachodzie, w przymierzu z Francją. Sobieski orjentuje się od razu w sytuacji, dostrzegając głównego wroga nie w słabnącym Turku lub niezdecydowanej Moskwie, lecz w wzmagającym się na siłach księciu pruskim, sukcesorze Krzyżaków. Atoli wielkie myśli i zamiary Jana III-go nie znajdują posłuchu w anarchizującym się coraz bardziej ogóle. Wiek XVII staje się zanikiem polskiej myśli bałtyckiej.

XVIII stulecie — to wiek wzmagającego się w oczach bezładu, w którym za Sasów ginie wszelka zdrowa myśl polityczna. Następuje okres rozbiorów. Rok 1773 pozbawia Polskę starego dziedzictwa piastowskiego, jakiem jest Pomorze Wchodnie. W narodzie następuje reakcja, i zaczynają się próby podźwignięcia. Utrata wybrzeża morskiego i złośliwe szykany pruskie co do Gdańska zaczynają przemawiać do wykształceńszego ogółu. Prace Staszica podkreślają wagę dostępu do morza, a Prot Potocki, wykorzystując pomyślną konjunkturę polityczno-gospodarczą, tworzy polskie przedsiębiorstwo żeglugowe na morzu Czarnem, wioząc zboże polskie przez cieśniny tureckie do Marsylji. Rzeczpospolita w próbach swego podźwignięcia się robi niepowetowaną omyłkę, zawierając przymierze ze swym najgłówniejszym wrogiem, Prusami. W konsekwencji następuje rok 1795, i państwo polskie przestaje istnieć.

Przez cały wiek następny idzie wytężona walka o zachowanie tylko swego bytu narodowego, o wiarę, język i zwyczaj. Zagadnienie morskie w tym okresie addala się w mgłę, jednakże w latach 80-tych zaczyna mówić Popławski, iż podstawą Polski są jej ziemie piastowskie i że głównym wrogiem jest ten, co je zabrał, tj. Niemiec, stojący mocno nad Bałtykiem. Potem następuje wiek XX, i wybucha Wielka wojna światowa. Idealista amerykański, prezydent Wilson, chcąc przywrócić równowagę w Europie, umieszcza w swych warunkach pokojowych odbudowanie niezależnego państwa polskiego „z własnym dostępem do morza". To, co jest proste i zrozumiałe dla idealisty, żyjącego w warunkach normalnych i operującego zwykłemi, logicznemi przesłankami, staje się prawie zupełnie niezrozumiałem dla realisty, którego życie upływa w nienormalnych warunkach i który dlatego nie może się zdobyć na zwykłe, logiczne rozumowanie.

„Skoro Polska ma żyć samoistnie", — sądzi Amerykanin — „to musi mieć dostęp do międzynarodowego gościńca morskiego". „Skoro będziemy mieli brzeg morski", — mniema Polak z końca wojny światowej — „to nie trzeba nam jeździć na Rivierę". Uderzenie bolszewickie 1920 r., na którego odparciu tak wydajnie odbił się dowóz amunicji drogą morską przez nieprzychylny Gdańsk, a nie lądową przez neutralną Austrję, pobratymcze Czechy lub sprzymierzaną Rumunję, otworzyło cokolwiek oczy na wojskowe znaczenie komunikacji morskiej. Strajk powszechny w Anglji 1925 r., dzięki któremu węgiel polski wszedł na niezdobyte, zdawało się, rynki światowe, oświetlił jeszcze bardziej znaczenie morza dla Polski pod względem gospodarczym. Te dwa zjawiska odbiły się szybko w postaci zawrotnego rozwoju Gdyni i coraz większego interesowania się sprawami morskiemi. Obecnie, w odrodzonej Rzeczypospolitej każdy zdaje sobie jasno sprawę, że dostęp do morza jest conditio sine qua non niezależności.

To mniemanie jest powszechne, a że historja jest mistrzynią życia, przeto warto sobie przypomnieć, iż Polska dochodziła do Bałtyku w chwilach potęgi i trafnie rozumiała wówczas jego znaczenie, oraz że cofała się od morza w chwilach upadku i zatracała wówczas myśl o niezbędności morza dla swego bytu. Ponieważ dziś mocno i świadomie trzymamy się morza, przeto z wielką otuchą możemy sobie powiedzieć, iż jesteśmy „narodem na dorobku".

Wieczory pod Lipą

Huczek się zrobił niemały, gdy jaśnie wielmożny marszałek in persona sua, samotrzeć do arkończyków na kwaterę przybył. Jaśnie wielmożny Walery, prezes wszego rycerstwa bebeckiego, aż w brodę sobie kudlatą z wielkiej alteracji pluł, raz po raz na znak najwyższego nieukontentowania za łysinę się łapiąc.

— Jakżeto? — wywodził, przy miodku poobiednim na ganku swego dworku w Racławicach, dyskurs zagajając — To my tu, panie święty, chamstwo od rebelji z obersztem z Golędzinowa viribus unitis wstrzymujemy, głowę zdrową pod ewangelję kładziem, substancję narażamy, pospólstwo w ryzach, pro publico bono, muszkietami trzymamy, a tam jakoweś bursy, kommersy, disputationes cum pauperibus za naszemi plecami się toczą?

— Trudno negować, jako casus ów wielce dla nas niefortunny i na desaprobationem maximam zasługuje — wstawił imć pan Kaźmierz Prześwitalski, herbu Semperit, mówca sławny i tancmajster wielce znamienity — dziwować się ano przychodzi, że miasto motopompae gumarumque modo chłystków do rozumu przywodzić, na pakty się oczywiste cum endekibus atque oeneris puszcza.

— Faramuszki to są, duby smalone, a bajędy — huknął j. w. gospodarz — błazeństwa aści we łbie, a tam wolność naszą bebecką oprymować chcą, ordinationem obalać, posłów doboru wolnego negują, z posad usuwają, w żywe oczy zasług nam i praw do rządzenia zapierają, ot co!

— Towarzyszy i kommilitonów wypróbowanych jak wilki w puszczy osaczają, dostępu do łask i pawimentów bronią, z antyszambr gonią — skarżył się wielmożny Janusz z Jędrzejewic herbu Brat — Coraz to cięższe terminy na nas idą, od klemencji ustawnej aże ślozy w gardle cisną i końca naszych utrapień nie widać!

— Auxiliów takoż nijakich znikąd wyglądać nie możemy, bo takowa na nas inter omnes zawziętość, że na wszelakie recedere zapóźno — dodał wielmożny Bogusław z Miedzina, pan możny, a zabiegliwy, co nigdy tynfa (własnego) na zbędne expensa nie wydał — skryby, a pismaki przeróżne coraz zuchwalej sobie poczynają, rozliczeń z grosza się publicznego domagając, na ręce patrzą, w każdej imprezie scandalum et defraudationem węszą... Skapieć ze szczętem przyjdzie w takowej opresji!

— Imć Bogusławowi się nie dziwię — przerwał j. w. gospodarz — bo byle szklanicę a dziewkę gładszą obaczy, to mu się rozum miesza i po trzosik sięga, jako i imć Prześwitalski. Aleć jest Adam, mąż rozważny i stateczny, i jemu się dziwuję, że nie broni, salwą gwardją naszą non est, a na takowe, horribile dictu bezeceństwa placet swoje daje i affirmative na jawne naszych praw pogwałcenie spectat.

— Jakoż ma nas biedak defendere, skoro in ozone ze szczętem pogrążon, victus est i konfuzję po konfuzji ponosi? — spytał imć Janusz z Jędrzejewic.

— Najświętsza zasada, źrenica całego naszego rycerstwa: „Pecunia non olet" — w pogardzie! Jaśnie oświecony książę do cna przez pismaków spostponowan i goryczą napojon, chłopstwo zrebeliowane, łyczkowie ditto, komput o nas i słyszeć nie chce, a bellum contra iudaeos sromotnie zawiodła — biadał głośno wielmożny Prześwitalski — Imć Bogusławowi commentarios de declaratione pro ozons wygłosić nie dają... Sejm potulny niby, a warczy i tylko patrzy jak kły by wyszczerzyć — cóż nam pozostało tedy? Kij oto pielgrzymi do ręki wziąwszy na obczyźnie chleb gorzki wygnania pożywać, ojczyznę niewdzięczną ze łzami wspominając.

— Nie bardzo ci on gorzki — wstawił zjadliwie j. w. prezes — Toć już i wróble na dachach śpiewają, żeście acanowie assecurationem wcale grzeczną na takową okazję zgóry sobie deposuistis!

— Nie każdemu się dworek, jak waszmości ochapie — odciął ostro wielmożny Prześwitalski.

— Pax, pax! — wtrącił spiesznie imć Bogusław — Decompositionem w naszem gronie konstatuję, gdy consolidatio — ultima ratio hodie mi się wydaje! Radzić trza! Tandem tedy consilium całego konwentu na przyszłą niedzielę invocare propono — situationem solennissime rozważyć. A na dzisiaj satis, mospanowie, bo humory do głów biją i stare rankory kipieć zaczynają!

Zaczem całe grono zamilkło po tak wybornej radzie i miodek popijając wsłuchiwać się jęło w melodję wieczoru. Bo „oto wrzasnął derkacz pierwszy śpiewak łąki", a za nim rozszumiały się do wtóru drzewa na chłopskiej mogile pod którą anno Domini 1794 kosynierów generała Kościuszki złożono. A w dali wiał zefirek, czoła dostojne chłodząc i niosąc echa zapomnianej pieśni: „Gaudeamus igitur!... Pereant ozones!..."

Konrad Jeżycki.

KONFISKATA

Upatrując w art. p .t. „Poętga narodu" od sł. „Na zakończenie stawiam" do sł. „przygotowujący obronę państwa", 2) w art. p. t. „Z 7 dni" od sł. „Także nietrudno" do sł. „w Brześciu", 3) w art. p. t. „Trzecia księga dżungli", 4) w art. p. t. „Wieża Babel", 5) w art. p. t. „Przegląd prasy krajowej" od sł. „Wobec powyższego agencja Press" do końca, 6) w art. p. t. „Z prasy zagranicznej" od początku art. do sł. „z tej odpowiedzi" zamieszczonych w czasopiśmie „Odnowa" z dnia 23 maja 1937 r. Nr. 30 cechy przestępstwa przewidzianego w art. 170 K. K., na zasadzie art. 27 dekretu z dnia 7.II.1919 r. w przedmiocie tymczasowych przepisów prasowych (Dz. Pr. 1919 Nr. 14, poz. 186) obłożyłem aresztem w dniu 20 maja 1937 r. wyżej wymienione czasopismo przy równoczesnym skierowaniu sprawy do Pana Prokuratora Sądu Okręgowego w Warszawie.

Przegląd Prasy Krajowej

DEKOMPOZYCJĄ POLSKA STOI.

Sanacyjny *Dziennik Poznański* wyjaśnia, dlaczego obecny sejm nie zamierza obalać rządu:

...„Niewątpliwie u podstaw postępowania obecnego sejmu i senatu leży chęć niepowiększania tej politycznej dekompozycji, jaką Polska obecnie przeżywa. Polska przecież dekompozycją dziś stoi, że przekształcimy inne powiedzenie, nasuwające nam bardziej smutne wspomnienia, z przed zaborów.
Jest to poczucie odpowiedzialności czynnika, stanowiącego jedyną społeczną zorganizowaną siłę polityczną, która może oddziaływać na losy Państwa. To poczucie odpowiedzialności nie pozwala parlamentowi na sprowokowanie przesilenia rządowego w chwili, gdy wszystko w kraju jest politycznie płynne. Dobra maniera. Jednak przesadnie i na dłuższą metę stosowana, może stać się rażącym błędem, może parlament obarczyć winą".

Obrona Ludu, podkreśliwszy, że *Dziennik Poznański* należy do pism najlojalniej „wysługujących się pomajowemu reżymowi", opatruje cytowany fragment następującemi uwagami:

...„Polska dekompozycją dziś stoi". Przestańmy raz posługiwać się tym obcym wyrażeniem, które po raz pierwszy wprowadził do dyskusji politycznej p. Miedziński w głośnym artykule noworocznej „Gazety Polskiej". Wiadomo o co „sanacyjnemu" pisarzowi wówczas chodziło. Chciał obcym, mało znanym brzmieniem wyrazu pokryć jego właściwą a bardzo nieprzyjemną treść. Ustalmy więc ścisłe polskie brzmienie tego słowa. Czerpie ono swe pochodzenie z francuskiego: decomposition, które każdy słownik francusko - polski tłumaczy na polskie: rozkład, rozprężenie, zgnilizna.
„Dziennik Poznański" podkreśla, że powiedzenie: „Polska dekompozycją stoi", przypomina „inne powiedzenie, nasuwające nam bardziej smutne wspomnienie, z przed zaborów". Szkoda, że nie przytoczył on tego „innego powiedzenia". Dla uwypuklenia niezwykłych bądź co bądź porównań, do których ten organ prorządowy doszedł, wyręczymy go w tym przypomnieniu. Otóż za smutnej pamięci dwu królów Sasów w XVIII wieku szlachta polska mówiła: „Polska nierządem stoi...". Dzisiaj organ konserwatywny i prorządowy twierdzi, że... „stoi ona dekompozycją"... Na podobnego rodzaju określenie nie zdobył się dotąd żaden z najbardziej „nieprzejednanych" organów opozycyjnych.
Wystąpienie „Dziennika Poznańskiego", który jeden z pierwszych zgłosił akces do deklaracji pułk. Koca, dowodzi, że mimo „Ozonu" dekompozycja tj. rozkład obozu „sanacyjnego" postępuje szybkim krokiem naprzód".

PRACA SIĘ ZNAJDZIE.

W jednem z ostatnich przemówień Marszałka Rydza Śmigłego zwraca uwagę następujący ustęp:

„Jestem przekonany, że praca w Polsce znajdzie się dla każdego, kto odpowiednio przygotowany charakterem i umysłem ma chęć do tej pracy".

Połączywszy to zdanie z innem twierdzeniem z tegoż przemówienia, że Marszałek „potrafi być konsekwentnym", należy oczekiwać rozwiązania kwestji niezliczonej ilości emerytów, których usunięto od pracy. Czyż mamy wyliczać nazwiska generałów, pułkowników, profesorów, szefów departamentów? Oczywiście ludzie tej miary znaleźli sobie nieraz skromne warsztaty pracy, ale nie dlatego, że im pomagano, lecz pomimo tego, że im przeszkadzano. Jakże gorąco i szczerze oczekujemy konsekwencji, zapowiedzianej przez Pana Marszałka!

NOWY AKADEMIK.

Prasa donosi, że znany satyryk i humorysta Kornel Makuszyński ma rozpocząć pracę w łonie Akademji Literatury. Wybór trafny, który niewątpliwie wzbogaci specyficzną twórczość nowego Akademika.

KIEDYŻ ZATEM?

Przewlekanie sprawy Parylewiczowej (jest to wciąż „sprawa Parylewiczowej", choć główna oskarżona nie żyje) wywołuje w społeczeństwie istną powódź plotek i pogłosek. Na niebezpieczeństwo tego stanu rzeczy zwraca uwagę *Polonia*, powołując się na oświadczenie b. wicemistra Sieczkowskiego, że „mniej więcej" w kwietniu sprawa się odbędzie. Tymczasem minął kwiecień, i maj dobiego końca, a o sprawie nie słychać.

„Kiedyż zatem? W czerwcu czy w lipcu? Oby jak najszybciej! Min. Grabowski zapowiedział, że wszelkie nadużycia będą tępione z całą stanowczością i ta obietnica wywarła doskonałe wrażenie. Świeżo ogłoszono wyrok sądu w Lublinie, skazujący b. sędziego i b. prokuratora oraz ich wspólników Żydów.
Wspólnikami Parylewiczowej byli także Żydzi, Fleischerowie i Holländerowie. Ale nazwiska ich nie wyjaśniają, w jaki sposób Parylewiczowa mogła interweniować w Ministerstwie Sprawiedliwości i to w niektórych wypadkach skutecznie. Ci oskarżeni, w liczbie 7, potrafią dokładnie wyjaśnić, jak zwracano się do Parylewiczowej o protekcję, ile się płaciło na „koszta", jak długo czekało się na wynik interwencji. Ale czy ci Żydzi i Żydówki z Tarnowa i Krakowa wyjaśnią, z kim stykała się Parylewiczowa w Warszawie, w jaki sposób starała się o awanse lub przeniesienia? Byłoby bardzo dobrze, gdyby umieli wyjaśnić. W tej sprawie p. Cz. Michałowski i p. W. Dlouhy mieliby chyba również dużo do powiedzenia z racji zajmowanych wówczas stanowisk.
Sędzia Korusiewicz jeździł, jak wiadomo, w toku śledztwa do Warszawy. Tam szukał wspólników Parylewiczowej. Może zresztą mówiła o nich sama oskarżona, może ślady, które do nich zaprowadzą, kryją się w tych 40 pękatych tomach aktów, jakie w śledztwie nagromadzono.
Z tych wszystkich powdów cały kraj z wielkim zainteresowaniem oczekuje procesu Fleischerowej. P. Sieczkowski odszedł, ale gdy składał owe oświadczenie co do rozpoczęcia procesu, występował w imieniu Ministerstwa Sprawiedliwości. To też zapewne zarówno nowy wiceminister, p. Chełmoński, jak min. Grabowski są zdania, że proces powinien się odbyć, jak najszybciej".

„FRONT DO OŚWIATY".

Podajemy za *Polonją* wiadomość, w którą się wierzyć nie chce:

„Odbywała się w tych dniach w gimnazjach cieszyńskich matura piśmienna. Jak zwykle, przysłano tematy piśmienne z Wydziału Oświecenia, między innymi także tematy na zadania fizykalne. Otwieranie kopert z tematami odbywa się zawsze uroczyście w obecności dyrektora zakładu, dotyczącego profesora i abiturjenów. Jakież było zdumienie obecnych, gdy po otwarciu kopert okazało się, że tematy wypisane są... w j ę z y k u n i e m i e c k i m.
Odkąd to Wydział Oświecenia koresponduje z zakładami polskimi w języku niemieckim?"

Oczywiście pomyłka. Ale jakże charakterystyczna i przykra.

ŚWIĘTO LUDOWE.

Udane, czy nieudane? Mniej liczne obchody, niż w inne lata? I tutaj dekompozycja?

Prasa rządowa — za Patem — uderzyła w dzwon trjumfu. Tajemnicza potęga przestaje być groźna. Można — na jakiś czas — odetchnąć.

W prasie ludowej nie czuć jednak przygnębienia. Nie wieje ono z takich oto słów *Gazety Grudziądzkiej:*

„Jak wynika ze sprawozdań z odbytych obchodów Święta Ludowego udział chłopów w poszczególnych powiatach był bardzo liczny. Liczba uczestników niczem nie udowadnia, że wpływy Stronnictwa Ludowego w terenie się zmniejszyły. Przeciwnie, wpływy Stronnictwa się ugruntowały. Poważny przebieg Święta Ludowego, fakt, że nigdzie nie doszło do zamieszek, fakt, że „komuniści" tym razem nie zdołali chłopów nigdzie sprowokować, najdobitniej wskazuje na dyscyplinę, na karność organizacyjną i solidarność chłopską. — Chłop wie czego chce i w świadomości tej nie da się wyprowadzić z równowagi!

Wyjaśnienie tej sprzeczności znajdziemy na szpaltach *Obrony Ludu:*

Nie bardzo rozumiemy, dlaczego agencje prasowe, utrzymywane przy życiu z publicznych pieniędzy i powołane, zdawałoby się do bezstronnego a ścisłego informowania społeczeństwa, tak się wysilają na pomniejszenie i obniżenie znaczenia manifestacyj, decydującego czynnika społeczno - politycznego w naszym kraju, jakim jest zorganizowane w ramach Stronnictwa Ludowego — włościaństwo. To bowiem, że postulaty manifestujących krzyżują się w bardzo wielu punktach ze stanowiskiem i poglądami aktualnych dzierżycieli władzy — to jeszcze nie usprawiedliwia stosowania tego rodzaju krótkowzrocznej i lekkomyślnej metody. Krótkowzrocznej, bo prawda jest zbyt oczywista, aby ją można było ukryć, a lekkomyślnej, gdyż wydaje nam się, że wszystkie odpowiedzialne czynniki w państwie, a przede wszystkim zaś rząd, są wybitnie zainteresowane w tym, aby o nastrojach kraju znać całą prawdę!"
Przebieg obecnego „Święta Ludowego" ujawnił natomiast pewne fakty, na które właśnie agencje rządowe i półurzędowe winny, komu należy, zwrócić uwagę. Takim bardzo znamiennym rysem był np. ten, zanotowany w „twierdzy" ludowej w Tarnowie, gdzie zgromadzeni chłopi nie uchwalili nadesłanych przez władze stronnictwa rezolucyj, a natomiast postanowili oddać się do dyspozycyj tych władz, uważając, że w chwili obecnej czas na... czyny, a nie na słowne protesty i rezolucje... Według naszych informacyj, wypadek tarnowski nie był odosobniony... Poza tym ogromną popularnością wśród zebranych cieszyły się rezolucje „dodatkowe", zgłaszane „z przestrzeni", a nie pokrywające się z ostrożnymi, w granicach obowiązującego prawa utrzymanymi, rezolucjami władz Stronnictwa Ludowego. — I bodaj one dopiero oddały należytą temperaturę nastrojów chłopskich...

„STRZEŻCIE SIĘ ZŁODZIEJÓW".

Nestor pisarzy polskich, Aleksander Świętochowski, zabrał pod powyższym tytułem głos w sprawach spółdzielczych na łamach *Spólnoty*. Z niezwykle trafnem — jak zawsze — wyczuciem duszy społecznej, uderza w najcięższą bodaj chorobę powojennego pokolenia: w kryzys zaufania. Stawia bardzo prostą,

a jakże rzadko rozumianą tezę, że do rozwoju spółdzielczości potrzeba czystej atmosfery moralnej.

„Jeżeli spółdzielczość ma tak wielkie znaczenie i wpływ na losy Polski, to powinniśmy czujną troskliwością otaczać jej wcielenie. Ta czujność jest tym bardziej potrzebna, że ona musi nie tylko odpierać ataki, ale tępić pierwiastki rozkładowe wewnątrz organizacji istniejących. Słabych i zmarłych spółdzielni mamy za wiele. Od czego one giną? Od zbyt szczupłej ilości członków, od znałogowanej ciemnoty ludności, przywiązanej do oszukańczych sklepików, od nieudolnych zarządów i innych złych czynników, ale głównie od złodziejów. Obok zwykłych drobnych kradzieży dokonywanych przez pracowników w sklepach i magazynach, gdy spółdzielnia daje zyski, wynurza się spośród jej członków krętacz, który w tajemnych intrygach na ogólnych zebraniach dowodzi, że daleko korzystniej było by ją zamienić na spółkę. Następuje przekształcenie, krętacz obejmuje przewodnictwo, powoli zdobywa udziały, wreszcie pozostaje sam właścicielem zwyczajnego sklepu. To są jednak wypadki rzadsze, częstsze niestety, przerażająco częste są zwyczajne oszustwa, łagodnie nazywane kredytami. Pomijam nadużycia ufności popełnione przez biedaków, którzy w ten sposób ratują swoje nędzne życie. Moralnie gorsze i materjalnie bardziej rujnujące są oszukańcze kredyty członków zamożnych i administrujących spółdzielnię. Ci, wyzyskując zaufanie lub swoje stanowisko jako uczestnicy zarządów i rad nadzorczych, zadłużają się w niej na poważne sumy ze świadomym zamiarem nie spłacenia ich nigdy. Tego rodzaju występki są gdzie indziej surowo karane, u nas poddane dochodzeniu w sądach cywilnych. Jak to wyraz ochrania złoczyńcę! Wystawca wekslu bez pokrycia jest u nas odpowiedzialny kryminalnie, a czymże innym jest oszukańczo wyzyskany kredyt? To jak gdyby Gawła uniewinnić, gdy się nazwie Pawłem. Naczelne władze spółdzielcze i wydawnictwa, statuty, przepisy, protokóły lustracyjne ciągle upominają, karcą, wykazują szkodliwość kredytów, będących w znacznej części maską kradzieży, one jednak nie przestają jak trąd zawsze wyniszczać, a często zabijać nasze spółdzielnie. Doprawdy, każda z nich na widocznym miejscu winna zawieszać ostrzeżenie, stosowane w wielu zakładach publicznych: „Strzeżcie się złodziejów”.”

A. W.

Z Prasy Zagranicznej

GDAŃSK W PRASIE FRANCUSKIEJ.

W prasie francuskiej, jak zwykle głośno o Polsce: od poważnych organów do brukowców, od artykułów do karykatur. Wybitny publicysta polityczny, Pertinax porusza sprawę Gdańska, gdzie „narodowi socjaliści nareszcie zdobywają wszechwładzę”. Zdaniem publicysty francuskiego, idea totalna trjumfuje ostatecznie na tym drobnym obszarze.

Jakaż była taktyka gdańskich podkomendnych Berlina na drodze do zdobycia tej wszechwładzy?

„Od dojścia do władzy Adolfa Hitlera narodowi socjaliści usiłowali dwukrotnie zrealizować swój program t. zn. uzyskać wszechwładzę, rzucając się w walkę wyborczą, i dwukrotnie zostali pobici. Uzyskali w Volkstagu tylko 38 miejsc na 72 w dniu 28 maja 1933, a 43 miejsca — 7 kwietnia 1935 — co im oczywiście nie pozwoliło zmienić prawa konstytucyjnego, podlegającego gwarancjom Genewy.

Spróbowali zatem do sytuacji podejść z innej strony. Senat, złożony z 22 członków, których Volkstag wybrał ze swego łona zwykłą większością głosów, całkowicie hitlerowski, a będący równocześnie organem władzy wykonawczej i drugą Izbą, jął się prześladowania partyj opozycyjnych, nie bronił ich przeciw bandom gauleitera Forstera, pomnożył samowolne aresztowania, wydawał dekrety nieprawne, pomimo zastrzeżeń Wysokiego Komisarza Sean Lestera”.

W wyniku słynnej demonstracji prezydenta Greisera w Genewie, którą Pertinax określa jako zniewagę Rady Ligi Narodów, prestige i kompetencje Komisarza Ligi zostały znacznie ograniczone. Z drugiej strony, ostatnie „pogodzenie się” niemiecko-narodowych z hitlerowcami zmniejszyło liczebność i szanse opozycji gdańskiej. Kto jest odpowiedzialny za trjumf hitlerowców?

Zdaniem Pertinaxa:

„Dyplomacja doktora (sic!) Becka jest przedewszystkiem odpowiedzialna za wypadki. Od dłuższego czasu ten minister nie przestawał pchać Rady Ligi Narodów do kapitulacji. Nie chciał, ażeby Polska była ramieniem instytucji międzynarodowej, co w rezultacie równało się obezwładnieniu Ligi Narodów. W lipcu, w październiku, Rada zwróciła się do p. Becka, dając mu wolną rękę .Wyzyskał on ten mandat tylko w celu przeobrażenia wysokiego komisarza w figuranta. Być może, że pułk. Beck myśli, iż Wolne Miasto, całkowicie zasymilowane z Rzeszą, będzie dla Polski bardzo pewną bramą morską i że na Pomorzu np. panowanie Polski nie będzie tem zagrożone. Prasa, przez niego inspirowana, powtarza aż do znudzenia: mało nas obchodzi co się będzie dziać z rządem gdańskim, jeżeli na wewnątrz terytorjum prawa Polski będą respektowane”.

Pertinax dobrze się orjentuje w kwestjach polskich. Nie obca mu jest również publikacja b. Komisarza polskiego w Gdańsku, Henryka Strassburgera, w której:

„(p. Strassburger) protestuje w niezwykle zajmującej książce przeciwko temu łatwemu optymizmowi”.

Dla czołowego publicysty francuskiego, polityka pułkownika Becka wydaje się bardzo niepokojąca. Nie jest to, niestety, głos odosobniony.

RZUT OKA.

W *„Ami du Peuple“*, p. Masson - Forestier dwukrotnie zabiera głos w sprawie polskiej. W pierwszym artykule daje rzut oka na rozwój stosunków polsko-francuskich, które pogorszyły się znacznie od czasu zapanowania „rzeczywistej” dyktatury:

„Była ona wykonywana przez tzw. popularnie rząd pułkowników, tak zwany, ponieważ najważniejsze funkcje państwowe spoczywały w ręku młodych oficerów z otoczenia Piłsudskiego. A więc pułkownik Car jest obecnie marszałkiem Sejmu, pułkownik Prystor — marszałkiem Senatu, pułkownik Starzyński — prezydentem miasta Warszawy, pułkownik Miedziński — redaktorem oficjalnej „Gazety Polskiej”, a pułkownik Koc — kierownikiem bloku politycznego współpracy z rządem. Ponad nimi, prawdziwym panem Polski jest pułkownik Beck, min. spraw zagranicznych”.

Pułkownik Beck jest wrogiem Francji, sprawiły to okoliczności nieco specjalne, w jakich, na żądanie władz wojskowych francuskich zakończyła się gwałtownie jego misja w Paryżu”.

Także wewnętrzna polityka polska nie jest obca czytelnikowi francuskiemu. *„L'Ami du Peuple”* informuje go dokładnie o treści artykułu p. Miedzińskiego w „Gazecie Polskiej”, nie bez swoistych, a znamiennych komentarzy:

„Reżym, panujący od roku 1926, pomimo skasowania najbardziej brutalnymi metodami opozycji politycznej„ nie dał krajowi dobrobytu. Wręcz przeciwnie; oto były minister, pułkownik Miedziński, mógł napisać 31 grudnia ub. r. w „Gazecie Polskiej”

dobrze nam znane słowa o dekompozycji.

Lekarstwem na ten stan rzeczy miałby być obóz pułk. Koca, „ażeby spróbować czegoś nowego”.

„Program obozu nie zdaje się wnosić zresztą żadnej nowej idei, a opiera się jedynie na rozwoju systemu totalnego”.

Omawiając nikłe zdaniem autora rezultaty dla Francji wizyty marsz. Rydza Śmigłego pismo zrzuca częściowo winę na nieudolność obecnego rządu francuskiego, który chciał powetować szereg niepowodzeń łatwym sukcesem dyplomatycznym.

W drugim artykule, p. Masson - Forestier jeszcze wnikliwiej zapuszcza się w stosunki polskie, przeprowadzając na wstępie analogję z walką „diadochów” w państwie macedońskim.

„Dwaj ludzie zwłaszcza dążą bezsprzecznie do najwyższej władzy: jednym z nich jest pułkownik Beck, który był niegdyś attaché wojskowym w Paryżu i którego rząd francuski, na żądanie marszałka Focha wyprosił z naszego kraju w r. 1922.

W roku 1927 chciał powrócić do Paryża, jako chargé d'affaires, ale rząd francuski odmówił mu wówczas agrément.

Zrozumiałem jest wobec tego, że nasz kraj nie ma w Europie bardziej upartego wroga, a Niemcy wierniejszego stronnika.

Drugim jest marszałek Rydz Śmigły, którego widzieliśmy niedawno w Paryżu, jak uzyskał pożyczkę 2 i ½ miljarda dla Polski wzamian za obietnicę wzmocnienia przymierza wojskowego i pod gwarancję polepszenia stosunków czesko-polskich”.

W wyniku ostatnich wyborów, rząd stracił oparcie w społeczeństwie. Jakie są następstwa tej sytuacji?

„Jeżeli pułkownik Beck wygrywa kartę hitlerowską, marszałek, ze swej strony prezyduje organizacji ruchu pułkownika Koca, o którym mówiliśmy niedawno, że już zrobił „fiasco”, pomimo, że i on również odznacza się sympatjami pro-hitlerowskiemi”.

Informacja druga, dotycząca marsz. Rydza Śmigłego, jak wiemy, nie należy do tych „murowanych”. Widać, że francuska fala niechęci do Polski przybiera na sile aż do przesady, aż do wyczerpania cierpliwości... Jeśli my ją jeszcze mamy, to i Francja mogłaby się na nią zdobyć.

Azet.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od 10 do 14-ej. REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 11 do 14-ej. Konto w P. K. O. Nr 22822. Prenumerata wraz z przesyłką wynosi: w kraju zł. 1,50; zagranicą zł. — 2,— miesięcznie. Ogłoszenia: 1 stronica — zł. 200.—; ½ st. — zł. 125,—; ¼ str. — zł. 75,—. Rękopisów niezastrzeżonych nie zwraca się.

REDAKTOR: RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI. WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „NIWA”, SP. Z OGR. ODP.

Zakłady Graficzne DRUKPRASA, Nowy-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.